WIDNOKRĄG

UKAZUJE SIĘ Z „NOWINAMI RZESZOWSKIMI"
Nr 21 (399)
21 maja 1969 r.

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Jan Grygiel

Medytacje w dniach kultury

DNI OŚWIATY, KSIĄŻKI i PRASY, to znakomita okazja do ogólniejszych rozważań o polityce kulturalnej, o modelu współczesnej kultury czy skuteczności form i metod pracy kulturalno-oświatowej. Wprawdzie Dni obchodzimy już od wielu lat, lecz sytuacja na froncie kultury ciągle się zmienia, a więc powodów do refleksji nigdy nie brakuje. W okresie ostatnich kilku lat wciąż wzrasta zasięg i wpływ środków masowego przekazu i to nadaje nowy, nieco odmienny od tradycyjnego, charakter majowym uroczystościom kultury. Na pierwszy plan z trzech stałych członków nazwy: Dni — Oświaty, Książki i Prasy zaczyna wybijać się prasa, a zaraz za nią telewizja i radio. Gwałtowny wzrost w ciągu paru lat nakładów i nowych tytułów dzienników i czasopism, zwiększająca się dynamicznie liczba odbiorników telewizyjnych i ciągle gęstniejąca sieć nadawczo - odbiorcza radia, te fakty otwierają przed działaczami i pracownikami kultury nowe perspektywy i stwarzają trudne dylematy. Kolorowe magazyny, telewizja i radio kształtują w skali masowej modę, obyczaje, upodobania piosenkarskie, teatralne, literackie, wytwarzają snobizmy i ustalają hierarchię wartości. Można mówić o swoistej dyktaturze, zwłaszcza w pewnych kręgach środowiskowych, tych środków przekazu kultury masowej.

W związku z tym na wielu spotkaniach, naradach czy seminariach słyszy się narzekania reżyserów i instruktorów amatorskiego ruchu artystycznego, że telewizja niszczy teatr amatorski, że utrudnia prace w chórach, muzycznych zespołach folklorystycznych, zespołach tanecznych itp. Brak zwłaszcza młodzieży w tego typu zespołach, gdyż młodzież, według tych relacji, w ogóle nie garnie się do amatorskiej twórczości artystycznej, ani do jakichkolwiek form działania kulturalnego. Niektórzy kierownicy placówek k. o. rezygnują z aktywnej, twórczej działalności na swoim terenie, poprzestając na pośredniczeniu w przekazie form i treści kultury masowej. Wynikałoby stąd, że istnieje jakiś konflikt pomiędzy modelem kultury proponowanym i upowszechnianym w wioskach i miasteczkach przez amatorów, a wzorcami lansowanymi przez środki masowego przekazu.

W naszym jednak modelu kultury masowej, w przeciwieństwie do sytuacji w wielu krajach zachodnich, nie ma antynomii między czynnym uczestnictwem w tworzeniu wartości kulturalnych szerokich kręgów społecznych a upowszechnianiem treści gotowych, wytwarzanych przez „przemysł" rozrywkowy.

Nie ma, jeśli wśród działaczy kulturalnych, wśród reżyserów amatorów, czy instruktorów nie pokutuje anachroniczna wizja kultury zaściankowej, tradycyjnej, spóźnionej o wiele lat w stosunku do współcześnie panujących gustów i upodobań. A taka wizja często się zdarza, zwłaszcza u amatorów i działaczy starszych, zapatrzonych w czasy swojej młodości z okresu istnienia Związku Teatrów i Chórów Ludowych.

Nie wolno tworzyć w pracy kulturalnej wsi, osiedli i małych miast drugiego toru, nie stykającego się z propozycjami lansowanymi przez milionowe nakłady pism, miliony odbiorników TV czy radiowych. Nie wolno ignorować idoli powszechnego obiegu (kpt. Kloss, Czterej pancerni, Niemen) pomijać milczeniem lub generalnie potępiać tzw. muzyki młodzieżowej. Nie zawsze trzeba być entuzjastą tych wzorów, ale generalna dezaprobata może skazać działacza na osamotnienie w środowisku, na całkowite zlekceważenie jego wysiłków i propozycji przez młodzież. Zwłaszcza, gdy propozycje te będą się wywodzić wyłącznie z kręgu kultury zaścianka, gdy będą tylko rodzime i zgrzebne. Dzisiaj działacz kulturalny musi być nie tylko doskonale zorientowany w aktualnym modelu czy stylu, teatru piosenki i estrady, ale winien także rozumnie komentować te zjawiska w swoim kręgu działania. Nierozważne wybijanie klina klinem, przeciwstawienie „Wesela kraczkowskiego", „Czerwonym gitarom" lub rewii, to są zabiegi bezsensowne, jeśli nie zamierzamy uprawiać prowincjonalnego ogródka kultury na miarę powiatową.

Nie oznacza to oczywiście, by należało rezygnować z twórczego wykorzystywania folkloru czy specyficznych cech kultury określonego regionu w ruchu amatorskim, i w działalności upowszechnieniowej. W naszym modelu kultury masowej znajdują swoje miejsce różnorodne i rozmaite treści. „Mazowsze", „Śląsk" popularyzują polską kulturę ludową po całym świecie, zespoły mocnego uderzenia skuteczniej i lepiej zwracają zainteresowania i zamiłowania „nastolatków" do folkloru muzycznego niż kapele z przyśpiewkami, co nie oznacza oczywiście, by rezygnować z kapel, które często cieszą się również dużą popularnością, jak np. rzeszowska kapela Łobody. Nawołuje się bardzo często do ratowania resztek folkloru muzycznego czy słownego, w stanie czystym, nieskażonym przez stylizacje lub adaptacje. Jest to postulat słuszny, warto i trzeba to czynić nie tylko poprzez dokumentalny zapis na taśmie, lecz także poprzez działalność zespołów amatorskich, odtwarzających z surową ścisłością taniec lub piosenkę ludową określonego regionu. Ale ta zasada nie może znaleźć ogólnego zastosowania i bezsensowne są załamywania rąk purystów nad fałszowaniem folkloru przez „Mazowsze" czy zespół „NO TO CO". To właśnie jest powodem naszej dumy, że muzyka, taniec, piosenka ludowa stanowią inspirację dla muzyki poważnej, bitowej, rozrywkowej, dla teatru czy sztuk plastycznych, nawet jeśli ostateczny kształt artystyczny utworu dość daleko odbiega od pierwowzoru. Na tym właśnie polega ciągłość kultury i jej związek z tradycją ludową.

Najzagorzalsi zwolennicy dawności i rodzimości mogą i powinni zaszczepiać swoje pasje w środowisku działania nie przeciwko obiegowym wzorcom masowej rozrywki, lecz razem z nimi, lub co najmniej obok nich. Dobry przykład tego rodzaju pracy oglądałem w ZDK Krośnieńskich Hut Szkła, w którym obok kapeli ludowej i orkiestry dętej istnieją ze-

(Ciąg dalszy na str. 8)

Roman Turek

Moi łańcuccy sąsiedzi — pisarze

„Niezrównany pamiętnikarz" — pisał w „Nowinach Rzeszowskich" Ryszard Bilski, o autorze książki pt. „Chłopskim piórem" — Janie Stryczku, mieszkańcu Woli Wielkiej w powiecie łańcuckim. Bogata treścią i nagrodzona przez redakcję „Polityki" wspomniana wyżej książka-pamiętnik, wzbudziła duże zainteresowanie w środowiskach kulturalno-politycznych całego kraju, recenzenci wielu czasopism nie szczędzili jej uznania, autorowi zaś pochwał i zachęty do dalszej pracy pisarskiej. Zgoła inaczej została przyjęta książka „Chłopskim piórem" przez krajanów Stryczka, mieszkańców Woli Wielkiej. Posypała się pod adresem autora istna burza zarzutów, gniewnych komentarzy i pogróżek. Ile i jakie były racje w tych zarzutach? Należy przyjąć i to, że nigdy jeszcze się taki nie urodził, który by wszystkim dogodził, a zapomnieć się czy pomylić to ludzka rzecz.

Zraziwszy sobie wielu współmieszkańców i długoletnich kolegów Stryczek, zniechęcił się i przestał pisać. Do niedawna jeszcze ukazywały się publikacje jego pióra, na tematy gospodarczo-ekonomiczne i polityczne w czasopismach ludowych; ostatnio jednak i to pisanie zarzucił. Zapytywany przeze mnie wyraził żal, do niektórych redakcji, że nie umieszczały w gazecie aktualnych nieraz i poważnych korespondencji z terenu. Zarzuciwszy więc pióro J. Stryczek, starając się unowocześnić swoje niewielkie gospodarstwo, oddaje się li tylko już pracy na roli; w wolnych chwilach i wieczorami wyplata kosze z wierzbiny. Praca ta, nie pozwala mu się nudzić. Wiek 72 lat ciężko przepracowanego życia bardziej zgina grzbiet ku ziemi, aniżeli pozwala rozwijać skrzydła ku wzlotom na Parnas.

Drugim z kolei, parającym się piórem i głośnym już w całym kraju, jest Walenty Kunysz, mieszkaniec wsi Kraczkowa też w powiecie łańcuckim. Jak widać ze znanych mi dotychczas jego prac, W. Kunysz nie jest pamiętnikarzem. Może piewca folkloru rodzimego, byłoby najodpowiedniejszym określeniem. Szeroko znany nie tylko na Rzeszowszczyźnie, doskonały utwór pióra W. Kunysza pt. „Wesele Kraczkowskie", kwalifikuje autora do takiego tytułu jak najbardziej. Jako samorodny wierszokleta napisał W. Kunysz niezliczoną ilość rymowanych powiastek i esejów oraz fraszek. Żadne z nich zresztą nie doczekały się wydania w formie książkowej, lub choćby broszury. Ale siedemdziesięcio dwuletni Kunysz w przyjęcie do druku prac swoich zgoła nie zwątpił, a jak opowiadał mi niezbyt dawno temu jeszcze, ma zamiar poświęcić cały wolny czas na pisanie. A

(Ciąg dalszy na str. 2)

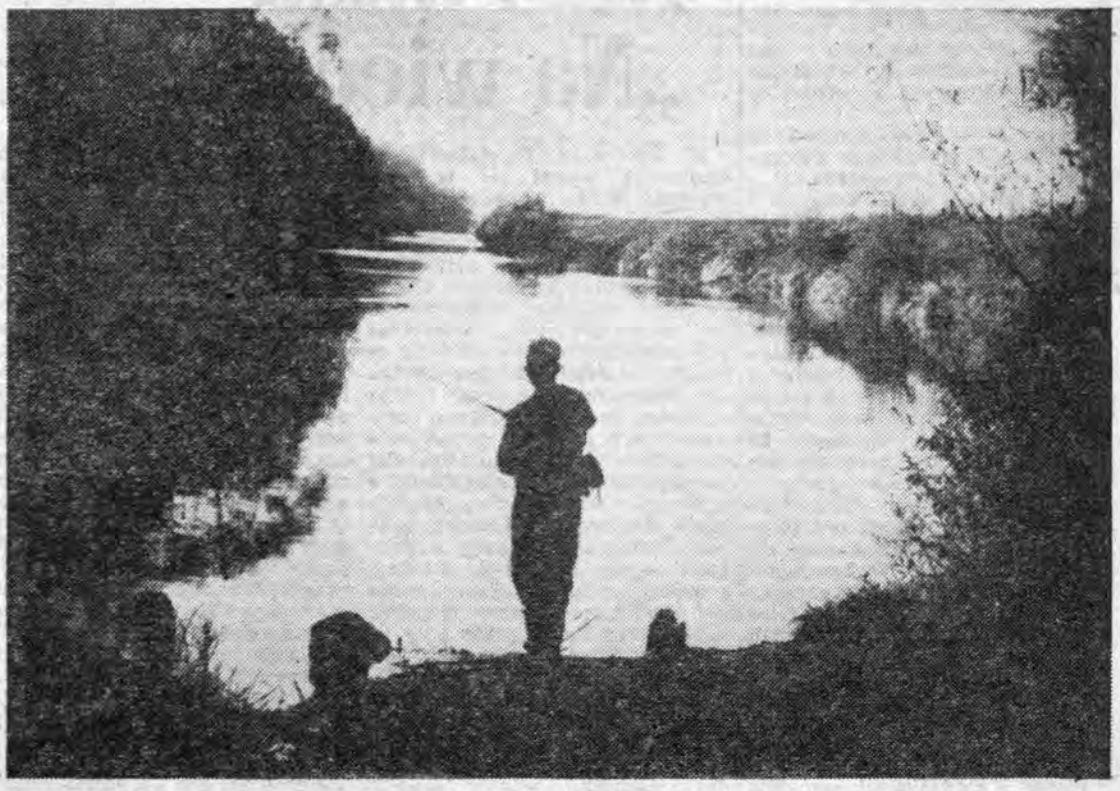

Piękna jest ziemia rzeszowska. Nad starym Wisłokiem.

XXV PRL

Strażacki czyn

Maj jest miesiącem szczególnie obfitym w różnorodne „dni" i „tygodnie". Oczywiście poza Dniem Pracy — właśnie w maju obchodzimy tradycyjnie Dni Oświaty, Książki i Prasy, Dzień Radia i Telewizji, Dzień Działacza Kultury, Dzień Hutnika, Dzień Budowlanych, Tydzień Ziem Zachodnich, a także Dni Ochrony Przeciwpożarowej. Te ostatnie stwarzają jednostkom OSP i strażom zawodowym okazję do wykazania gotowości bojowej i sprawności przeciwpożarowej.

Dla nas jednak tradycyjny „Tydzień Strażaka" jest pretekstem do zbilansowania osiągnięć OSP w zakresie działalności kulturalno-oświatowej oraz ukazania dalszych rozwojowych perspektyw tego jakże potrzebnego społecznego ruchu. Nie wolno bowiem zapominać, że bardzo często w środowiskach wiejskich działalność OSP jest jedyną, że tu właśnie strażacy są od organizowania imprez artystycznych, zabaw, zespołów orkiestralnych, że to właśnie oni wypełniają części i oficjalne, i artystyczne większości rocznic i uroczystości. Dlatego też nie od rzeczy będzie przypomnieć, że w województwie rzeszowskim działa ponad 300 świetlic strażackich, a OSP prowadzą 24 kina wiejskie. Ponadto w domach strażaka i remizach działa 40 klubów „Ruch" i 24 kluby „Rolnika". Rzecz jasna, często są to placówki wspólne, organizowane przez OSP, ZMW, czy Koło Gospodyń Wiejskich. Nie to jest jednak najistotniejsze. Ważne, że są, że działają.

Różne formy pracy

Formy pracy placówek OSP są różne, w zależności od warunków lokalnych i zainteresowań środowiska. A więc cały bogaty wachlarz spotkań i odczytów na różne tematy z różnymi ludźmi. Dominuje tu tematyka współczesna i historyczna. Swoje odbicie znajdują w tej formie także tematy typowo branżowe, z zakresu popularyzacji przepisów p. poż, albowiem stosowana jest tutaj generalna zasada: „Każda placówka OSP ośrodkiem prewencji i propagandy przeciwpożarowej". W jednym tylko 1968 r. tematom tym poświęcono ogółem ponad 6 500 pogadanek. Liczba ta wymownie świadczy o zakresie oddziaływania strażackich prelekcji.

Dużo uwagi placówki OSP woj. rzeszowskiego poświęcają pracy z dziećmi i młodzieżą.

Do najlepiej pracujących placówek zaliczany jest klub w Godowej, pow. Strzyżów i w Smolarzynach, pow. Łańcut, których działalność prowadzona jest przez rady klubowe, składające się w większości z członków OSP.

Wreszcie — w placówkach tych działają wszelkiego autoramentu zespoły artystyczne.

Orkiestry dęte i inne

Do najstarszych, najdłużej działających, zespołów OSP z całą pewnością zaliczyć można strażackie orkiestry dęte. Działa ich aktualnie w woj. rzeszowskim 20. Nie jest to jednak liczba stała. Zespoły te borykają się z dużymi kłopotami. Brak im funduszu na zakup instrumentów, a często także na opłacenie instruktora. Toteż w pewnych okresach ta czy inna orkiestra przestaje istnieć, a inne w tym samym czasie wznawiają swą działalność po kilkuletniej nawet przerwie. Z braku środków rozpadła się np. orkiestra dęta w Iwoniczu-wsi, ale działalność wznowiły w Kańczudze i Wysokiej Głogowskiej. Trwałym dorobkiem mogą się wykazać orkiestry z Brzóy Królewskiej pow. Leżajsk, Markowej i Albigowej pow. Łańcut, Dynowa, pow. Brzozów, Łopuszki Wielkiej pow. Przeworsk i Mielca.

Pisząc o działalności zespołów artystycznych OSP na sposób pominąć milczeniem zespołów teatralnych, chóralnych i kapel ludowych. Jeśli chodzi o pierwsze — ich ilość wyraźnie topnieje, ewentualnie zawiesza się ich działalność. Ogłoszony w listopadzie ub. r. przegląd strażackich zespołów teatralnych nie dał oczekiwanych rezultatów. Do konkursu przystąpiły tylko dwa zespoły teatralne; z Dynowa, pow. Brzozów i Świętego, pow. Jarosław. Dość duże ożywienie zaobserwować można natomiast w działalności zespołów wokalnych i estradowych. Przykładem niech będzie zespół z Odrzykonia, pow. Krosno, Biecza, pow. Gorlice i Smolarzyn, pow. Łańcut. Stosunkowo duże zainteresowanie wzbudzają zespoły chóralne i kapele ludowe OSP.

Kina strażackie

Osobny rozdział działalności OSP na rzeszowskiej wsi poświęcić należy strażackim kinom. W poważnym stopniu wypełniają one lukę w dziedzinie upowszechniania filmów, uzupełniają działalność Wojewódzkiego Zarządu Kin. Ochotnicze Straże Pożarne prowadzą na terenie województwa 24 kina. W ubiegłym roku w kinach tych obejrzało projekcje filmowe blisko 150 tysięcy widzów.

Tu warto dodać, że wszystkie kina OSP są na własnym finansowym rozrachunku. Należy też wspomnieć, że strażackie kina nie stronią od projekcji filmów oświatowych, a także szerokim frontem włączają się do różnych konkursów, zmierzających do popularyzacji kinematografii. Ostatnio np. w kinach strażackich przeprowadzono eliminacje konkursu „Kinematografia polska w 25-leciu PRL", zorganizowanego wspólnie z Centralą Wynajmu Filmów. Konkurs wzbudził nadspodziewanie duże zainteresowanie i jego finał rozegrany zostanie 24 bm. w kinie w Żołyni.

W 25-leciu

Strażackie zespoły artystyczne prezentują swe programy po spotkaniach wyborców z kandydatami na posłów i radnych. Przygotowują też nowe okolicznościowe programy związane z jubileuszem 25-lecia Polski Ludowej. W roku srebrnych godów naszej ludowej ojczyzny znacznie powiększy się baza lokalowa OSP przeznaczona na prowadzenie działalności kulturalno-oświatowej. Powstają nowe domy strażaka, świetlice, kluby. Jest to strażacki czyn 25-lecia.

JULIAN WOŹNIAK

Moi łańcuccy sąsiedzi — pisarze

(Ciąg dalszy ze str. 1)

zatem W. Kunysz twórcą chce być ciągle jeszcze czynnym, sądzę, iż należałoby nie skąpić mu rady w potrzebie i pomocy.

Czynnikom powiatowym czy wojewódzkim od spraw kultury nie znana chyba zupełnie jest Ludwika Bem, mieszkanka wsi Kraczkowa dożywająca obecnie starości w domu zięcia swego, w Czarnej pod Łańcutem. Nie wiem, czy drukowany w odcinkach na łamach czasopisma „Gromada Rolnik Polski" jej wstrząsający treścią pamiętnik pt. „Mój wiek XX" zakwalifikowany został do druku w formie książki. Nieprzyjęcie go byłoby niepowetowaną stratą dla pamiętnikarstwa ludowego.

W przeczytanej przeze mnie recenzji o pamiętniku L. Bem, nazwał ją autor wysokiej miary bohaterką.

Ludwika Bem odłożyła pióro. Bawi i wychowuje wnuki. Czy nie należałoby przyśpieszyć wydania jej pamiętników?

Niepośledniej objętości, bo powyżej tysiąca stron liczący pamiętnik napisał mieszkaniec Woli Wielkiej pod Łańcutem, Roman Suberla, mąż nagrodzonej autorki dziełka pt. „Wesele Woleńskie", która też w wolnych chwilach pisuje wiersze okolicznościowe. Pamiętnik ten, pełen brawurowego dowcipu, spłonął, niestety, ku żalowi wszystkich znających jego fragmenty, podczas pożaru domu Romana i Anieli Szuberlów. Dobiegającego siedemdziesiątki R. Szuberlę i teraz jeszcze trzyma się cięty dowcip i zjadliwe pióro. Drukował jednak niewiele.

Wojna i związane z nią przeprowadzki pozbawiły mnie niezwykle cennego poematu pt. „Wielki dyrektor i wszawy rektor", pióra Pałysa, bodajże Władysława, o ile mnie pamięć nie myli, mieszkańca Grodziska Dolnego w powiecie leżajskim. Wspomniany Pałys, był poetą prawie, że klasycznym i niezwykle płodnym.

Zaangażowany w działalność polityczną w Stronnictwie Ludowym z Janem Stapińskim, Pałys nieustannie walczył z administracją ordynacji przeworskiej księcia Lubomirskiego, wytykając jej słowem i piórem niesprawiedliwość w stosunku do robotników i chłopów; osadzony często za kratami, za nic sobie mając wszystkie szykany, prowadził tę walkę aż do wybuchu wojny. On to napisał posiadany późnej przeze mnie ów kilkudziesięciozwrotkowy poemat o dyrektorze lasów książęcych i jego szacherkach z izraelitami, zaczynający się od słów:

Rzecz to prawie nie do wiary,
Żeby taki Cybuch stary,
Co niedawno chodził z worem,
Jeździł autem z dyrektorem.

Darmo szukałem Pałysa w latach ostatnich. Wyjechał podobno na Ziemie Zachodnie.

Najgęściej w Polsce zaludnione województwo rzeszowskie ma sądzę najbogatszy i różnoraki folklor, a pod względem wszelkiego rodzaju twórców było ono też chyba dotychczas najbardziej urodzajne. Długoletnia nędza i wędrówki po świecie za chlebem mieszkańców tutejszych wsi, zmuszały ich do wypowiedzenia się o swoim trudnym życiu.

☆

Ponieważ przyjąłem na siebie opiekę nad pamiętnikarzami i innymi twórcami mieszkającymi na wsi, apeluję do młodzieży i starszych o zgłaszanie swoich prac pod adresem:

Związek Literatów Polskich, Oddział w Rzeszowie ZLP oraz Wojewódzki Wydział Kultury będzie służył pomocą tym twórcom jak to czyni już Wydział Kultury województwa lubelskiego.

P. S. Onegdaj nadesłał na moje ręce swój pamiętnik ob. Józef Furmanek ze wsi Korczyna. Niewielka to wprawdzie praca, niemniej bardzo ciekawie napisana. Początek piękny, oczekujemy prac następnych.

Kapela ludowa z Mrowli. *Fot. M. KOPEC*

Zbigniew Wawszczak

„Na wieczną pamiątkę..."

W Bibliotece Powiatowej w Brzozowie wpadł mi w ręce skromny folder, poświęcony atrakcjom turystycznym tego podgórskiego powiatu. Przeglądając kolorową broszurkę, natrafiłem nieoczekiwanie na zdjęcie oryginalnego pomnika, wzniesionego dla uczczenia daty zniesienia pańszczyzny. Ów niecodzienny obelisk z szarego kamienia ogromnie mnie zainteresował. Postanowiłem, że pojadę tam, aby na miejscu obejrzeć ponad studwudziestoletni monument, aby porozmawiać z mieszkańcami o przeszłości wsi i o dniu dzisiejszym. Bez wątpienia, ucisk pańszczyźniany był w tamtych stronach szczególnie srogi, okrutny, a radość po jego zniesieniu równie wielka, na miarę cierpień, upokorzeń i biedy, jakie były udziałem chłopów w okresie feudalnego wyzysku!

Któregoś dnia wybrałem się do Nozdrzca, tak bowiem nazywa się miejscowość, w której wystawiono ów jedyny w swoim rodzaju pomnik.

Najpierw parę danych o topografii. Nozdrzec położony jest wśród łagodnych wzniesień pogórza dynowskiego, na terasie doliny, utworzonej przez zakola jednej z najpiękniejszych polskich rzek, malowniczego Sanu.

Z wysokiej terasy roztacza się pełen pastelowych barw, pejzaż, obejmujący wstęgę Sanu, zielone łąki, szachownicę uprawnej ziemi, hen aż po skrawki wspinającego się na łagodne wzgórza lasu. Jest to zakątek wręcz ujmujący wspaniałą, wiejską ciszą, którą zakłóca jedynie od czasu do czasu samochód przemykający asfaltową szosą z Dynowa na Sanok lub traktor pracujący w polu. Jest to miejscowość, o doskonałych, naturalnych warunkach letniskowych, prawie zupełnie nie wykorzystanych. Pierwsze kroki w tej dziedzinie podjął miejscowy GS, wznosząc zespół domków campingowych...

Pod pomnikiem chłopskiej niedoli...

Agronom, Jan Tarnawski, mężczyzna w średnim wieku, którego spotkałem w biurze GRN, podjął się samorzutnie roli przewodnika. Pomnik znajduje się na nozdrzeckim cmentarzu, odległym co najmniej z kilometr od siedziby GRN, wsiedliśmy więc do samochodu. Po drodze Tarnawski opowiedział mi co nie co o Nozdrzcu i jego mieszkańcach. Jest to wieś średniej wielkości, liczy 286 numerów, gospodarczo stoi nie najgorzej, aczkolwiek sporo jest tu do zrobienia, rezerwy jeszcze niemałe. W ubiegłym roku plony czterech zbóż osiągnęły przeciętnie 21 q z hektara. Inny wskaźnik intensyfikacji gospodarki rolnej, zużycie nawozów sztucznych, jest także wysoki, wynosi ponad 130 kg na ha. Pan Tarnawski nie omieszkał również pochwalić się osiągnięciami wsi: oto GS zbudował nowoczesne magazyny, lokal sklepowy i pawilon gastronomiczny. Przejeżdżaliśmy akurat obok świeżo otynkowanego, piętrowego budynku o wielkich oknach.

— To jest nasz, dopiero co oddany do użytku, dom strażaka — tłumaczył mi Tarnawski, mieści dwa garaże, świetlicę i co najważniejsze dużą salę zebrań i zabaw. Kosztował ponad 1 mln złotych, przy czym połowę z tej sumy wniosła wieś...

Zatrzymaliśmy się tuż pod cmentarzem, tonącym w zieleni bujnych drzew. Ścieżynką pomiędzy grobami pan Jan poprowadził nas na skraj cmentarza, gdzie u stóp żywopłotu, ujrzałem kamieny obelisk, znany mi już z fotografii. Uczynny agronom usuwa z kamienia zielonkawe porosty, staramy się wspólnie odczytać zatarte z upływem czasu napisy. Ten, wyryty w górnej części pomnika, jest stosunkowo najbardziej czytelny: „Na wieczną pamiątkę zniesienia w roku 1848 pańszczyzny". W dolnej części, na każdej z czterech ścian pomnika wyryto również napisy, ale są już prawie nieczytelne. Udało nam się odcyfrować tylko fragment jednego, niedokończonego zresztą zdania: „Albowiem wezwani jesteście ku wolności bracia, tylko byście wolności nie obracali..."

Jest to, jak się wydaje werset, wybrany prawdopodobnie z listów „apostoła narodów", św. Pawła

— Kto zbudował ten pomnik?

— Chyba nasi praojcowie — myśli głośno Jan Tarnawski. To przekonanie, oparte jest raczej na domniemaniu aniżeli na przechowanej we wsi tradycji. Zastanawiamy się wspólnie: obelisk w Nozdrzcu wzniesiony zo-

Wojewódzki Turniej Poezji rozstrzygnięty

W tegorocznym Wojewódzkim Turnieju XV Ogólnopolskiego Konkursu Recytatorskiego wzięło udział ponad 5 tysięcy uczestników. Można więc mówić o olbrzymiej popularności tej pięknej, od 15 lat trwającej corocznej imprezy poetyckiej, obejmującej swoim zasięgiem cały kraj, i o wciąż rosnącym jej znaczeniu.

Ze środowiska młodzieży szkolnej wstąpiło w szranki turnieju w naszym województwie 4 174 recytatorów z grona młodzieży akademickiej — 34, a w kategorii ogólnej — około 800 osób. W niektórych powiatach udział miłośników poezji w konkursie był szczególnie duży, co dobrze świadczy o zainteresowaniach literaturą polską i o pracy kadry instruktorskiej k.o.

W eliminacjach wojewódzkich, które odbyły się w dniach 16—17 bm. konkursu uczestniczyło 66 recytatorów. Jury pod przewodnictwem Zbigniewa Umińskiego postanowiło w kategorii młodzieży szkolnej przyznać I miejsce **Lucynie Hobot** z Ustrzyk Dolnych, dwa równorzędne miejsca II **Janowi Bajorkowi** z Jasła i **Halinie Rydz** z Sędziszowa, trzy III — **Kazimierzowi Feckowi** z Jarosławia, **Adamowi Gromadzkiemu** z Pilzna i **Zbigniewowi Hellerowi** z Sędziszowa. Ponadto przyznano 4 równorzędne miejsca IV i 11 wyróżnień.

W kategorii ogólnej jury postanowiło nie przyznać I miejsca. Drugie miejsce zdobył **Stanisław Pawlik** z Rzeszowa dwa równorzędne III — **Teresa Haśko** z Jarosławia i **Celina Heller** z Boguchwały i IV miejsce **Józef Gmyrek** z Rzeszowa. Przyznano również 6 wyróżnień. Zdobywcy punktowanych miejsc i wyróżnień otrzymali nagrody ufundowane przez Wydział Kultury Prez. WRN i WKZZ.

W kategorii młodzieży akademickiej również nie przyznano I miejsca. Dwa równorzędne otrzymał **Janusz Knap** z WSP w Rzeszowie i **Anna Tadla** ze Studium Nauczycielskiego w Krośnie.

Uczestnicy konkursu wykazali na ogół wysoki poziom recytatorski. Zwłaszcza młodzież szkolna z powiatu Ustrzyki Dolne zasłużyła na wyróżnienie — była dobrze przygotowana do eliminacji, o czym zresztą świadczy uzyskanie I miejsca przez reprezentantkę tego powiatu. Turniej zakończył się koncertem recytatorskim laureatów i spotkaniem ze znanym poetą **Janem Bolesławem Ożogiem.**

J.G.

Pochwała recytacji

Spotykam ich prawie na co dzień, w świetlicy wiejskiej i klubie, domu kultury i szkole. Ich pasją jest recytacja. Lubią rozprawiać na temat poezji, prozy, publicystyki, a zwłaszcza nad przekazaniem jej w formie żywego słowa swoim odbiorcom i słuchaczom. Ci bardziej zaawansowani i wytrwali, sami wiedzą, jaka forma jest ciekawsza, lepsza, kiedy ona jest nosicielem określonych treści i kiedy je tłumaczy, a kiedy wręcz utrudnia zrozumienie czy przeszkadza w ich zrozumieniu. Ci początkujący chętniej nastawiają ucha pytając instruktorów i nauczycieli o rady i wskazówki. Tych pierwszych jest dużo, tych drugich jeszcze więcej.

Turniej wojewódzki mamy już poza sobą, mamy więc faktyczne zakończenie konkursu w tym roku kończącego się właśnie na szczeblu eliminacji wojewódzkich. Warto więc wyciągnąć parę refleksji na temat samej recytacji.

Julian Przyboś określił kiedyś konkursy recytatorskie, jako „twórczy ruch żywej mowy", a wypowiadając się na temat recytacji, jako wieloletni przewodniczący centralnych sądów konkursowych, używał określeń „sztuka recytacji". Jakie więc elementy powinna zawierać recytacja, żeby można ją nazwać „sztuką"?

Po pierwsze powinna realizować treści zawarte w tekście utworu recytatorskiego, a więc zawierać element odtwórczy, reprodukcji tekstu, i po drugie element twórczy czyli artystyczny. To przełączenie elementów twórczego i odtwórczego leży u podstaw współczesnej, dobrej recytacji.

Każdy recytator sam, lub przy pomocy instruktora poprzez analizę tekstu czyta treści danego utworu literackiego, które są zawarte w warstwie znaczeń słownych i uzupełnione formą odpowiednią dla każdego gatunku literackiego. Do tego, jako następny etap pracy nad recytacją, musi dojść element interpretacji, a więc element własny recytatora.

Recytator musi świadomie i konsekwentnie „dopisać" siebie do tekstu, który staje się dla niego pretekstem do wytłumaczenia, wyjaśnienia problemu, sprawy, które go interesują. To wyjaśnienie problemu jest tym bardziej czytelne, im bardziej sugestywną i właściwą formą zostaje ono podbudowane.

Zsynchronizowanie formy wynikającej ze struktury wiersza z treścią, a właściwie z problemem założonym przy recytacji danego utworu, daje bardzo ciekawe rezultaty w sztuce recytacji. Po tej linii szły właśnie dwie interpretacje laureatów bieżącego konkursu. Lucyna Hobot z Ustrzyk Dolnych w kategorii młodzieży szkolnej zaprezentowała Juliana Tuwima „Z wierszy o Małgorzatce", a Stanisław Pawlik z Rzeszowa K. Tetmajera „Jak Janosik tańczył z cesarzową".

Jako obserwator kilku ostatnich konkursów recytatorskich i to od szczebla środowiskowego aż do centralnego muszę stwierdzić, że na innych etapach recytacje są często przypadkowe, nieświadome i niekonsekwentne. Niektórzy z jurorów oceniających recytatorów stwierdzają, że ci nie wiedzą nawet o czym mówią. Tak też jest istotnie. Często element afektacji tekstem, przy dobrych warunkach głosowych i poprawnej dykcji sprawia wrażenie, że recytacja jest interesująca. Oczywiście jest ona „interesująca", ale tylko pozornie. Brak świadomej interpretacji sprawia, że do słuchacza nie docierają żadne treści. Na szczęście jest jednak bardzo duża grupa recytatorów, dla których celem recytacji jest dialog z odbiorcą. Recytator odwołuje się do aktualnych problemów, jakie ma on sam i jego słuchacz. Ten prawdziwy dialog jest możliwy tylko wtedy, gdy tekst literacki, jakim posługuje się recytator w swojej wypowiedzi jest pretekstem do zademonstrowania jego własnej osobowości i spraw go interesujących.

DARIUSZ DUBIEL

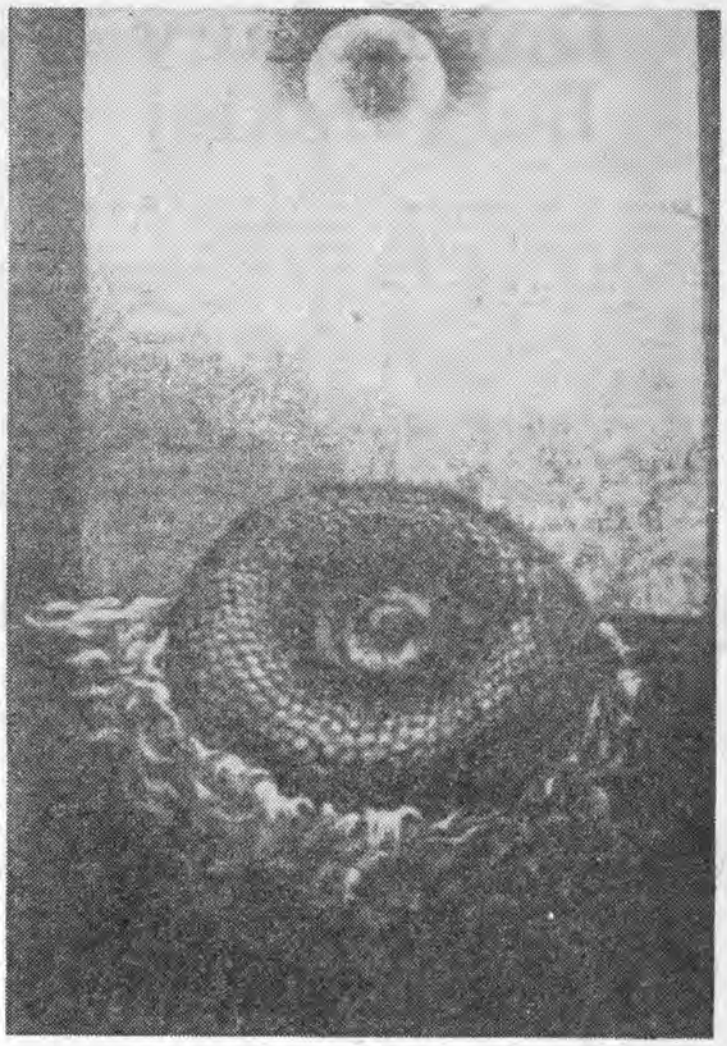

Najlepszy rysunek i grafika miesiąca.
WŁADYSŁAW KOTKOWSKI — „Smierć słonecznika" — mezzotinta.

W pracowniach rzeszowskich muzyków

O pracach rzeszowskich muzyków nie związanych bezpośrednio z działalnością koncertową — mówimy rzadko. Dziś chciałabym zwrócić uwagę na prace, które ukazały się nakładem Polskiego Wydawnictwa Muzycznego, bądź zjawią się w najbliższym okresie na półkach księgarni muzycznych.

Studia orkiestrowe to tytuł zbioru utworów **Tadeusza Chachaja** przeznaczone dla grających **na rogu.** Waltorniści zapewne zwrócili uwagę na to wydawnictwo eksponowane na stoiskach PWM w czasie Dni Muzyki Kameralnej w salonie przed salą koncertową.

W bieżącym roku natomiast ukaże się jeszcze część druga **Szkoły na klarnet Tadeusza Hejdy** oraz tegoż muzyka **Wybór etiud na saksofon.**

Warto również zasygnalizować, że wszystko wskazuje na to, iż w 65 rocznicę urodzin (4 lipca br.) do rąk czytelników dotrze monografia kompozytora wywodzącego się z Rzeszowszczyzny — **Artura Malawskiego.** Autorem pokaźnego tomu, bogato ilustrowanego jest zespół, który pracował pod kierownictwem Bogusława Schaeffera.

M. G.

stał przez ludzi światłych. Z pewnością jednak nie fundował go szlachcic czy mieszczanin, bo ani drugi ani tym bardziej pierwszy nie odczuł na własnej skórze brzemienia pańszczyzny. Zbudować go zatem mogli tylko chłopi, dla których doświadczenia roboty „na pańskim" były świeże, głębokie, niezapomniane, jak niezapomniana jest krzywda, ucisk, bezradność, nędza rozpacz, w jakiej klasa ta żyła przez stulecia. Zbudowali chłopi, pod przewodnictwem kogoś, kto wyszedł spośród nich ale któremu udało się jakimś, wręcz cudownym sposobem, uzyskać wykształcenie. Ów światły chłop docenił wielkość chwili, nie chciał, aby ciężkie czasy nędzy i poniewierki poszły w zapomnienie, pragnął, aby pomnik, umieszczony na odwiedzanym przez mieszkańców wsi cmentarzu, przypominał im po wsze czasy, w jakiej to stan chłopski żył niewoli... Był to człek mądry, bo nie dał zwieść się chytrym zabiegom polityki austriackiej, która ciemnym (na wsi panował wówczas powszechny analfabetyzm) masom chłopskim wmawiała, że zniesienie pańszczyzny jest tylko i wyłączną zasługą cesarza. Wiedział ów wyimaginowany fundator pomnika, że cesarz próbuje tylko zbić kapitał na decyzji, do której zmusił go bieg dziejów, prądy wolnościowe, spiski narodowo-wyzwoleńcze, próbuje przez to pozorne ustępstwo zaskarbić sobie łaski poddanych, pragnie stosować prastarą dewizę Rzymian „Divide et impera" — dziel i rządź!

Pomnik pańszczyźniany, wykuty z piaskowca na kształt ówczesnych, dziewiętnastowiecznych pomników grobowych, wieńczyła jeszcze kamienna kula. Jej rozłupane szczątki walały się na murawie...

Dzień dzisiejszy Nozdrzca

Skoro wróciliśmy z wyprawy na cmentarz, w biurze prezydium zebrało się kilku mężczyzn. W ich gronie znalazł się również przewodniczący GRN, Kazimierz Kociuba, mężczyzna niewysoki, młody. — Jakoś niewiele widziałem w Nozdrzcu nowych domów? — Zaatakowałem ich.

Gospodarze żachnęli się — „Jakże to mało? A może zresztą ma pan trochę rację, rzeczywiście budownictwo rozwinęło się u nas na dobre dopiero w ostatnim czasie. Bo najpierw, w pierwszych latach powojennych żyliśmy tutaj na pograniczu strachu. Zasanie znajdowało się w niepodzielnym władaniu band UPA, Nozdrzec czuwał dzień i noc, aby upowskie sotnie nie zgotowały mu losu wsi zza Sanu, jak choćby Dylągowej, którą spalono doszczętnie, a jej mieszkańcy musieli ucieczką ratować życie..." — Kilkudziesięciu członków liczyło wówczas tutejsze ORMO. Rozkręcili się moi rozmówcy, wtedy, przed laty chłopcy kilkunastoletni, wspominali o nocach spędzonych na posterunkach nad brzegiem Sanu, o skutecznym odparciu upowskiego natarcia, które straciwszy kilku zabitych, załamało się. Później, kiedy nasze wojska rozbiły banderowskie kurenie, inna groźba zawisła nad Nozdrzcem. Rzecz paradoksalna, przyniósł ją proces uprzemysłowienia kraju. Zaczęto mówić o wielkich zaporach, którymi spięte zostaną i ujarzmione polskie rzeki, a prąd wytwarzany w hydroelektrowniach popłynie do wielkich fabryk i małych chałup. Wizja, którą kraj witał wielką nadzieją, podjęta przez nowy ustrój społeczny, Nozdrzec pojął jako swoje wielkie zagrożenie. Jedna z zapór stanąć miała pod Dynowem, a wody zalewu pochłonąć miały wieś. Gdzieś do 1952 roku nie wydawano w Nozdrzcu zezwoleń na budowę, wieś zastygła w niepewności... Ale oto planiści dostrzegli możliwości korzystnej modyfikacji, znacznie mniej kosztownej. Niechże zapora stanie powyżej Dynowa, w rejonie Niewistki, tam ziemie prawie puste, niezamieszkane. I w ten sposób odwróciła się karta. Zaczęli ludziska raźniej myśleć o przyszłości, przemyśliwać nad poprawą starych, wznoszeniem nowych domów, obór, stodół...

— Może nie wierzy Pan, ale rzeczywiście od tego czasu trochę jednak u nas zbudowano — mówili. — Zaraz policzymy.

I zaczęło się liczenie, dla mnie o tyle ciekawe, że raz po raz padały nazwiska, charakterystyczne dla Nozdrzca.

Nozdrzec jest wsią raczej typowo rolniczą. Niewielu tylko gospodarzy dorabia sobie pracą poza rolnictwem. Są to pracownicy administracji gromadzkiej, GS-u, Kółka Rolniczego, poczty, biblioteki gromadzkiej. Kilkunastu dojeżdża do pracy do pobliskiego Dynowa.

— Mamy też poważne kłopoty — zwierzał mi się przewodniczący GRN, Kociuba. — Budynek (dawna dworska oficyna), który zajmuje szkoła jest nieodpowiedni, ciasny i zagrzybiony. Chcemy budować w czynie społecznym Dom Nauczyciela, (mamy już działkę, gromadzimy środki) — aby w ten sposób poprawić sytuację mieszkaniową nauczycieli.

... portret społecznika

Prezes GRN, agronom i pozostali uczestnicy naszej rozmowy to ludzie młodzi, dawnych czasów nie pamiętają. Poradzili mi, abym wybrał się do znanego we wsi działacza, a zarazem seniora, prezesa kółka rolniczego, Stanisława Toczka. I tym razem towarzyszył mi agronom Tarnawski. Dzięki niemu mogłem zobaczyć wyniki społecznej pracy mieszkańców Nozdrzca przy budowie drogi, wiodącej do sąsiedniej wsi Hłudno. W ubiegłym roku poszerzono, przebudowano pół kilometra drogi, w tym roku zbudowane zostanie następne pół km, ale roboty pozostanie jeszcze sporo, na pozostałym, 3-kilometrowym odcinku.

Prezes Toczek, mężczyzna sześćdziesięcioośmioletni, jeszcze krzepki, może być uznany za wzorowego społecznika. Jeszcze przed wojną prowadził koło „Wici", atakowany ostro przez endeków, nazywany dla swych radykalnych poglądów — komunistą. Swoim społecznym pasjom pozostał wierny do dziś, pracując w ZSL, kierując kółkiem rolniczym, pośrednicząc we wprowadzaniu nowych metod gospodarowania. I nie są to jedynie przechwałki, w ubiegłym roku wybudowano we wsi 31 silosów, a w tym mają zamówienia na dalszych 60!

Gospodarując wraz z zięciem, Stanisław Toczek wybudował nowy dom i zabudowania gospo-

(Ciąg dalszy na str. 4)

Dni Kultury Bułgarskiej

24 maja br. Bułgaria uroczyście obchodzi 1 100 rocznicę piśmiennictwa bułgarskiego. Bracia Cyryl i Metody stworzyli alfabet słowiański na podstawie języka słowiano-bułgarskiej ludności Półwyspu Bałkańskiego. Alfabet ten nazwany został później cyrylicą i używany jest obecnie w ZSRR, Bułgarii i Jugosławii.

Dzieło Cyryla i Metodego odegrało rewolucyjną rolę w dalszym rozwoju kultury i piśmiennictwa słowiańskiego. Uczniowie ich Gorazd, Kliment, Naum, Angelari, Sawa i inni rozpoczęli ożywioną działalność oświatową i literacką, dzięki czemu Bułgaria przekształciła się w centrum piśmiennictwa i kultury słowiańskiej. Literatura bułgarska stworzona w tym okresie dopomogła w utrwaleniu się piśmiennictwa i języka słowiańskiego. Dzień urodzin Cyryla i Metodego jest świętem kultury bułgarskiej. W związku z tym, jak i organizowanymi w Rzeszowie Dniami Kultury Bułgarskiej, warto przytoczyć kilka faktów z życia Bułgarii, mówiących o osiągnięciach i kontaktach kulturalnych tego kraju z innymi państwami na świecie.

Dużą rolę w rozwoju kultury bułgarskiej w drugiej połowie XIX wieku i do chwili obecnej odgrywa Narodowa Biblioteka im. Cyryla i Metodego w Sofii. Obchodzi ona 90 rocznicę swego istnienia. Była ona żywą ilustracją walki narodu bułgarskiego o całkowite wyzwolenie społeczne, polityczne i ekonomiczne spod jarzma tureckiego. Obecnie w bibliotece znajduje się ponad 1 300 000 tomów książek i tyle samo dokumentów archiwalnych. Utrzymuje ona stosunki z 300 wydawnictwami zagranicznymi i wymienia książki z wieloma bibliotekami na świecie. Tylko w 1967 roku biblioteka wzbogaciła się o 73 479 nowych książek, reprodukcji malarskich, fotografii i nut. Biblioteka codziennie wydaje 900 000 tomów książek swoim 24 000 czytelników, którzy odwiedzają ją ponad 200 000 razy w roku. Zebrane są tutaj wszystkie pozycje, które wyszły w Bułgarii po 1806 roku, w tej liczbie cenne starodruki z początków literatury bułgarskiej, książki z XI, XII, XIII wieków, a także pierwsze gazety bułgarskie, listy znanych pisarzy i działaczy społecznych z XIX w. do obywateli bułgarskich, książki Christo Botewa i Wasyla Lewskiego.

Do popularyzacji kultury Bułgarii i pogłębienia przyjaźni między narodami w znacznym stopniu przyczynia się Studencki Dom Kultury w Sofii przy Uniwersytecie im. Klimenta Ochrydzkiego. Stale odbywają się tutaj „wieczory przyjaźni między narodami" m. in. i poświęcone Polsce, i naszej kulturze. Na scenie Domu występują artyści i zespoły studenckie z różnych stron świata. Tutaj można usłyszeć południowoamerykańskie melodie jak i pieśni ze stepów mongolskich. W jednej z sal Studenckiego Domu stale ćwiczy zespół tancerzy — nieustanny propagator folkloru bułgarskiego. Ten studencki zespół występował w wielu krajach świata. Gorąco go przyjmowano we Francji, Jugosławii, Grecji, Włoszech. Studenci organizują projekcje filmowe poświęcone kulturze innych krajów i historii Bułgarii, która w bieżącym roku obchodzi 25-lecie istnienia władzy ludowej. Studenci bułgarscy ze zniecierpliwieniem oczekują wielkiego przeglądu studenckich zespołów amatorskich, który będzie ważnym wydarzeniem w życiu kulturalnym studentów.

Ostatnio wielki sukces odniosła popularna piosenkarka bułgarska Lili Iwanowa, zdobywając na Festiwalu Płyt Gramofonowych i Wydawnictw Muzycznych w Cannes (Francja) wielką nagrodę — a mianowicie złotą płytę gramofonową. Tę nagrodę przyznaje się tylko sześciu najlepszym wykonawcom piosenek i popularnym piosenkarzom. Oprócz Lili Iwanowej nagrodę otrzymali znani piosenkarze Mireille Mathieu z Francji, Udo Jurgens z z Austrii i Andriano Celentano z Włoch. Lili Iwanowa w ostatnich latach odniosła duży sukces na festiwalach piosenki w Sopocie, Bratysławie i Barcelonie i w czasie niedawnych gościnnych występów w Holandii.

HENRYK RÓG

„Na wieczną pamiątkę"...

darcze. Ale nie tylko o osobiste sprawy zabiega Toczek: on to przecież stał na czele społecznego komitetu, który zajmował się budową okazałego Domu Strażaka, on za poprzedniej kadencji był radnym PRN, a obecnie kandyduje na radnego GRN.

— Z funkcji radnego w powiecie zrezygnowałem, bo to już i wiek mi dokucza, i do Brzozowa daleko. Ale jeśli mnie wybiorą, będę pracował u nas, w gromadzie...

Nieobca jest Toczkowi, działalność kulturalna.

— Ostatnio graliśmy „Starą baśń" — powiada — cieszę się, że mam już następców, jak Paulina Klimińska, czy nauczycielka Karnasowa... Ale o młodych, choćby do grania, trudno, na wsi... uciekają w świat, to i z robotą kulturalną kiepsko!

Przeskakujemy z tematu na temat, wreszcie pytam prezesa Toczka o pomnik.

Legenda o dobrotliwym cesarzu...

Raz jeszcze odżywa tulająca się dotąd po wsi galicyjskiej legenda o dobrotliwym cesarzu. Z opowiadań ojca i dziada słyszał pan Stanisław o tym, jak to cesarz zniósł pańszczyznę ale w Galicji panowie nie zastosowali się do cesarskiego dekretu. Zachorował cesarz i to nie byle jak, żadne doktory nic mu pomóc nie mogą. Aż dowiedziano się na dworze o jednym zakonniku ze Starej Wsi pod Brzozowem, który leczył najcięższe choroby. Sprowadzono go do Wiednia. Zakonnik wyleczył cesarza.

— A co ty za to chcesz? — pyta go cesarz.

— Nic, tylko żebyś najjaśniejszy panie sprawił, żeby u nas pańszczyznę znieśli!

Zdumiał się cesarz, że panowie tak go bezczelnie oszukują. I wtedy ogłosił, żeby do 48 godzin mogli chłopi robić z panami, co im się podoba. Polała się krew ciarachów. Pobili wtedy panów okropnie. drewnianymi piłami ich piłowali:

„pomaleńku go żnijcie, kumie, bo dobre było panisko!"

I na tę pamiątkę wystawili pomnik na cmentarzu.

Masz tu babo placek! Jednak nie najgorsza była ta cesarsko-królewska propaganda!

Wiele jeszcze przeróżnych rzeczy opowiadał prezes Toczek, zresztą bardzo poetyckich. Wspominając o długoletniej służbie wojskowej w cesarskiej armii, pan Stanisław sportretował starego dziadka, wysłużonego „wojasa", którego zmobilizowano na wojnę pruską. Wojak ów mówił o dalekim, niekończącym się marszu. Tak długo i daleko szli na tę wojnę, że „wreszcie kijonke za obłoki można było włożyć". (Na kraniec świata doszli, gdzie, obłoki stykają się z ziemią...

Ryszard Dzieszyński

SANOK 1809 r.

Dnia 14 kwietnia 1809 r. arcyksiążę Karol, najdzielniejszy z austriackich generałów, wtargnął ze swym wojskiem do Bawarii. Tak rozpoczęła się kolejna wojna francusko-austriacka, jedna z najkrwawszych i najcięższych wojen, jaką przeżyła monarchia austro-węgierska w minionym stuleciu. Ale w 1809 r. do wojny parła Austria, której mocno dokuczała blokada kontynentalna, zaprowadzona przez Napoleona. Liczono na to, że Napoleon znaczną i lepszą część armii zaangażował w bojach o Hiszpanię. Utworzenie „drugiego frontu" miało się stać dla niego zabójcze.

Jednakowoż Austria, także podjęła walkę na dwa fronty. Główny front przebiegał na polach Bawarii, a wkrótce potem nad Dunajem. Ale walka toczyła się również nad Wisłą. Dodajmy — też z inicjatywy Austrii, która liczyła na fakt, że większość wojsk Księstwa Warszawskiego znajdowała się w Hiszpanii. Książę Józef Poniatowski głównodowodzący wojsk Księstwa Warszawskiego mógł przeciwstawić austriackiej przewadze jedynie kilkanaście tysięcy żołnierzy i nieliczny garnizon saski. Nic też dziwnego, że Austriacy zajęli wkrótce stolicę kraju — Warszawę. Mimo to wojna 1809 r. stanowi chlubną kartę w dziejach oręża polskiego. Książę Józef po oddaniu Warszawy, przeszedł na tyły wojsk austriackich. Staczając pomyślne boje z nieprzyjacielem, przekroczył granicę galicyjską i ruszył na Lublin i Zamość, budząc swoim pojawieniem się entuzjazm rodaków.

Wojska Księstwa Warszawskiego do dnia 20 maja zajęły Jarosław, a następnie Przemyśl i Lwów. W oswobodzonych miastach zostały ustanowione załogi wojskowe i władze cywilne. Komendant Przemyśla kpt. Jan Kraśnicki szczupłymi siłami czynił wypady w stronę Bieszczadów, budząc popłoch w garnizonach austriackich. 1 czerwca 1809 r. zjawił się w Sanoku wraz z plutonem 5 pułku strzelców konnych dowodzonym przez płk. Kazimierza Turno. Starosta austriacki wolał zniknąć z miasta. Waleczny garnizon cesarski uczynił to już wcześniej. Przyczyniła się do tego postawa sanoczan, którzy samorzutnie podjęli próby rozbrojenia go. Tego samego dnia kpt. Kraśnicki polecił ogłosić uniwersał, skierowany do miejscowych obywateli ziemskich i mieszczan. Jego treść opublikował w sto lat później ziemianin z powiatu sanockiego parający się amatorsko historią, hr. Stanisław Trzecieski.

Dokument ów odznaczał się chwalebną jasnością i iście żołnierską lapidarnością. Nie wdając się w żadne wynurzenia natury politycznej, czy ideologicznej, kpt. Kraśnicki ustanowił nowy, tymczasowy porządek, polegający na obsadzeniu najważniejszych stanowisk w mieście odpowiednimi ludźmi. Skądże jednak wziął tych „odpowiednich" ludzi? Jaką miał pewność, że nadają się na te stanowiska i czy przede wszystkim — zgodzą się na objęcie funkcji? W jednym wypadku nie miał tej pewności, co zostało zaznaczone w uniwersale. Ale reszta? Zbyt krótko przecież przebywał w mieście, aby zebrać potrzebne informacje i bliżej poznać tych ludzi. Wydaje się, że kpt. Kraśnicki już wcześniej wiedział, kogo ma wyznaczyć na stanowiska. Nie jest wykluczone, że przyjecha z Przemyśla do gotowa listą nominatów, co wystawiałoby chlubne świadectwo komórce wywiadowczej, działającej przy sztabie księcia Józefa. A może lista kpt. Kraśnickiego była owocem pracy jakiejś konspiracyjnej organizacji niepodległościowej, o której nie śniło się Austriakom, o której wiedział tylko przenikliwy wódz ks. Józef?!

W każdym razie, jakkolwiek było, Kraśnicki porozdzielał funkcje i wrócił ze swym odziałkiem do Przemyśla, pozostawiając dalszą troskę o Sanok, jego mieszkańcom.

Nowi włodarze Sanoka pochodzili z miejscowej szlachty. Prezes cyrkułu — hr. Józef Parys — właściciel klucza dynowskiego, znany był powszechnie jeko dziwak i oryginał. Nie ruszał się bez sekretarza przybocznego, który nosił ze sobą mały składany stolik i miał obowiązek zapisywać każde słowo, wypowiedziane przez hrabiego. Podobno jednak hr. Parys był człowiekiem wykształconym, oczytanym i mądrym. Zostawił pamiętniki, które zdaje się zginęły w czasie I wojny światowej.

Jan Błażej Bukowski, również galicyjski hrabia — zastępca prezesa cyrkułu — dotychczas nie zajmował się polityką. Służył w kawalerii podczas wojny 1792 r., a potem zajął się gospodarką. Szanowano go za prawość i gospodarność. Stając w szeregach patriotów w czerwcu 1809 r. nie przypuszczał, że chwile jego życia są już policzone. W miesiąc później zginął od kuli austriackiej.

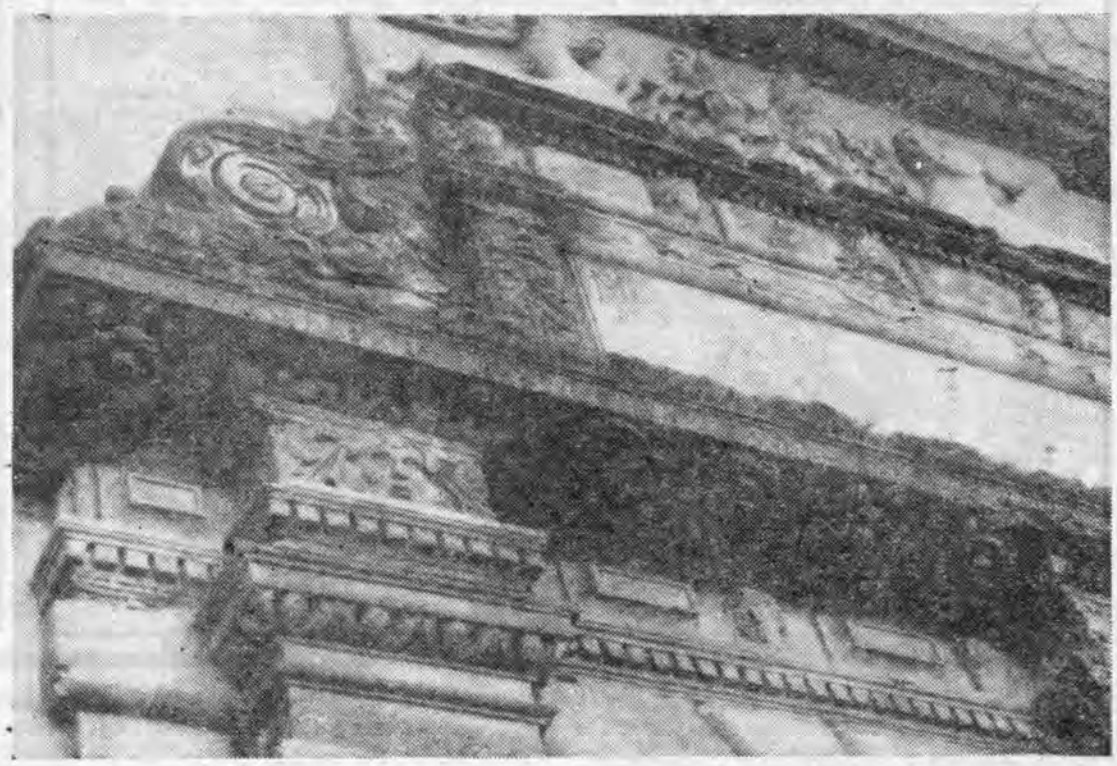

Fot. M. KOPEC

Listy DO PRZYJACIELA

Czy wiesz, Drogi, co to takiego akapit? To po prostu ustęp tekstu zaczynający się od nowego wiersza — podaje Władysław Kopaliński i Ty zapewne odpowiedziałbyś podobnie. Oczywiście nie ma powodu nie zgadzać się z autorytetem słownikowym, ale ani Ty, ani badacz słownictwa pochodzenia obcojęzycznego nie uwzględniliście, że to także oznaczać może barwne roje dziewcząt, wylęgarnię nauki, inteligencji; że ów akapit pisany dużą literą zatrzymać potrafi na pięcioletnią zażyłość z sobą sporą gromadę przyszłych pedagogów. Że znaczyć może parę pięter przysadzistego bloku, który pęka w szwach od młodości. Że kotłuje się w nim dziewczyńska rozmaitość spraw: od nieblahych spraw serca poczynając — na najważniejszych sprawach pracy kończąc. Że znaczy gwar. Że znaczy troskę, nerwy. Że znaczy przystań, kolektyw, etap w życiu. Że gdyby go nie było — niejedno życie potoczyłoby się inaczej; na pewno gorzej...

Mogłabym tak wyliczać Ci w nieskończoność i nie w jednym akapicie czym ów akapit jeszcze być może, ale znając Cię, wiem, że czas na wyłożenie sprawy, czemuż to ja tak uporczywie o tym drugim znaczeniu akapitu. Otóż w jakimś sensie przywiązała się ta nazwa do mojej osoby i odtąd towarzyszyć mi będzie, tracąc swój zawodowy charakter na rzecz emocjonalnego. Bo po prostu „Akapit" — to dom studentek Wyższej Szkoły Pedagogicznej, ochrzczony w ubiegłą niedzielę tą nazwą!

Oprócz „Akapita" ochrzczono w juwenaliowy dzień także inne cztery domy akademickie; ochrzczono z celebracją, przy udziale licznych żaków i cnych mieszczan, przy udziale Jego Magnificencji Rektora Wyższej Szkoły Inżynierskiej, który ojcowsko błogosławił dwom „swoim" podopiecznym pomieszczeniom, ale moje sentymenty pozostają na stałe przy „Akapicie", bo z wyboru żaków samych, jego ojcem chrzestnym mianowano kierownika Wydziału Propagandy KW PZPR — Bronisława Błażeja, a chrzestnym matkowaniem obdarowano moją skromną osobę. Tak i widzisz, żem się wzbogaciła o posesję wcale nie najmniejszą w mieście, wypełnioną substancją lokatorską wiel ce urodziwą; o nader swoisty

Zorganizowaniem siły zbrojnej mieli zająć się Tadeusz Prek i Ksawery Krasicki. Prek był w młodości szambelanem króla Stanisława Augusta. Najciekawszą jednak postacią wśród sanockich patriotów był Ksawery Krasicki.

Urodził się w 1774 r. w Dubiecku. Młodzieńcze lata spędził na dworze stryja — Ignacego Krasickiego, poety i biskupa warmińskiego. Ochotniczo służył w zreformowanej na Sejmie Czteroletnim armii polskiej. Jako kawalerzysta walczył pod rozkazami ks. Józefa Poniatowskiego w wojnie polsko-rosyjskiej w 1792 r. i odznaczył się w bitwach pod Zieleńcami i Dubienką, za które został udekorowany Krzyżem Virtuti Militari oraz, jak pisze Ksawery Prek — „postąpił na oficera".

W dwa lata w randze majora dowodził już pułkiem kawalerii. Wziął udział w powstaniu kościuszkowskim od pierwszych chwil. Kościuszko używał go jako „oficera do specjalnych poruczeń". Pod Szczekocinami znajdując się przy boku Naczelnika, przeprowadził pomyślną ewakuację wojska z pola bitwy. Zabito wówczas pod nim dwa konie, a sam został lekko ranny. Po bitwie pod Powązkami, Kościuszko wręczył mu pierścień z napisem: „Ojczyzna — swemu Obrońcy", stanowiący jak wiadomo, najwyższe odznaczenie w czasie Insurekcji i powiedział: „Winszuje ci, dobrześ zasłużył się Ojczyźnie". Warto dodać, że pierścień ten został dopiero co ustanowiony i Krasicki otrzymał go jako jeden z pierwszych dziesięciu odznaczonych.

Po upadku Insurekcji Krasicki ożenił się z Julią Mniszchówną. Zabawnie i złośliwie pisze o niej Ksawery Prek:

„Była o swego męża bardzo zazdrosną, który bywał często na łowach i miewał tajne związki. Ona dowiedziawszy się o tym, bardzo się niepokoiła, skłoniła się do rozwodu z mężem, wyjechała potem do Lwowa i tam zamieszkiwała. W niejakim czasie tyle przywiązana do męża, połączyła się z nim znowu i zamieszkała w pięknym domu w Bachórcu, gdzie był piękny ogród; mąż zaś lubił w Lisku przebywać, gdzie ustawicznie polował. Jednak i tu znowu grymasy ją napadły, wyjechała więc do Wiednia i tam corocznie odbierała pensję."

Coś tam nie kleiło się w małżeństwie Krasickich! Zresztą nic dziwnego: wedle Preka, Julia była kiepską gospodynią, „zawsze bywała w imaginacji, że chora", a ponadto była garbata i miała żółtą cerę. Nie chcę podważać motywów patriotycznych Ksawerego Krasickiego, ale z drugiej strony nie dziwmy się, że tak ochoczo przystąpił do organizacji sanockiej siły zbrojnej...

Władze cywilne Sanoka przystąpiły z miejsca do urzędowania. Odebrały od urzędników cyrkułu przysięgę na wierność „Rządowi militarnemu Woysk Polskich y ustanowionym jako też ustanowić mayącym się Władzom", a następnie zabrały się do ściągania podatków i regulacji spraw gruntowych. Tymczasem Krasicki z Prekiem werbowali rekruta i musztrowali ochotników na sanockim rynku.

Niedługo jednak Sanok miał prawo uważać się za część składową Księstwa Warszawskiego. Wkrótce nadciągnęły wojska austriackie. Gen. Rożniecki zaczął cofać się spod Lwowa. Do Sanoka wkroczył pułk huzarów węgierskich. Władze cywilne rozproszyły się, garstka obrońców zajęła zamek. Pierwszy szturm nie przyniósł rezultatów. Huzarzy zostali odparci ze stratami. Ale Krasicki zdawał sobie sprawę, że obrona na dłuższą metę jest niemożliwa. Obwarowania zamku składały się — śmiech pomyśleć — z mocno nadgniłych desek, które niepokojąco trzeszczały przy silniejszym podmuchu wiatru. Nie sposób było bronić się w takiej twierdzy. Dlatego Krasicki zdecydował się przebić przez oblegających. Użył fortelu. Nagle otworzyła się zamkowa furta i czterdziestu kawalerzystów runęło na zaskoczonych huzarów. Sądzili oni, że oblężeni wysłali naprzeciwko nim wycieczkę i byli zdumieni, gdy „wycieczka" przebiwszy się przez pierścień oblegających ruszyła z kopyta na wschód. — „Dezerterzy!" — pomyśleli o nich z niesmakiem, po czym przypuścili szturm do zamku. Wyłamali bramę i nagle zobaczyli, że w zamku nie ma nikogo.

Owszem, został Krasicki, który nie mógł brać udziału w „wycieczce" ze względu na to, że symulował... resztę sił obrońców ukrytych za murami. Spacerując, wydawał z siebie różne okrzyki: to komuś rozkazywał, to znowu meldował o wykonaniu rozkazu, słowem huzarzy mieli wrażenie, jakby za każdym rogiem czaił się wyborowy strzelec.

Krasicki oczekiwał na huzarów na koniu. Jak wiadomo, zamek sanocki stoi na skale i można do niego podejść tylko od strony miasta. Tą drogą uciekli żołnierze Krasickiego, tą też drogą wdarli się huzarzy. Po drugiej stronie zamku była przepaść i rozlany San, jako że podówczas panowała powódź. Krasicki wybrał tę drogę do ucieczki. Po stromej ścieżce zaczął zjeżdżać ze skały. Kilku huzarów puściło się za nim w pogoń, lecz Krasicki wypalił ku nim z pistoletów, a widząc, że ścieżka kończy się, spiął konia ostrogami i skoczył do Stanu.

Nadbiegła reszta pułku. Huzarzy z napięciem obserwowali, jak Krasicki walczy z nurtem wezbranego Sanu. A kiedy po dłuższej chwili ujrzeli go, wyjeżdżającego koniem na drugi brzeg, aż zakrzyknęli z podziwu. Nikt też nie odważył się ścigać śmiałka. Krasicki pod Leskiem połączył się ze swym oddziałem. Tam dopiero dopadli go ścigający huzarzy. W potyczce zginął Józef Bukowski, zastępca prezesa sanockiego cyrkułu. Krasicki oderwał się jednak od nieprzyjaciela. W następnej potyczce, pod Sadową Wisznią, zadał huzarom ciężkie straty, wychodząc ze swymi ludźmi bez szwanku. Od tej chwili nikt go nie ścigał. Spokojnie dotarł do Zamościa, gdzie zdał komendę komendantowi placu. Sam jednak nie wstąpił do armii Księstwa Warszawskiego. Jako wierny stronnik Kościuszki czekał na jego akces do Napoleona, co stanowiło dla niego gwarancję odbudowy niepodległej Polski.

Po powrocie w rodzinne strony Krasicki osiadł w Lesku. Tam zajmował się gospodarką i polowaniami. Szczególnie lubił polować na dziki. Na jednym z polowań dzik zrzucił go z konia i rozdarł mu rękę. W ostatniej chwili dzięki towarzyszom, którzy zabili dzika uniknął śmierci.

Krasicki był „ludzkim" panem. Unowocześniwszy swoje gospodarstwo, zadbał również o nowe i wygodne domy dla włościan. Był protektorem i przyjacielem Wincentego Pola, który uwiecznił go w jednym z poematów. Wytrącony z równowagi duchowej po śmierci syna, zmarł wkrótce po nim, w 1844 r. w Lesku.

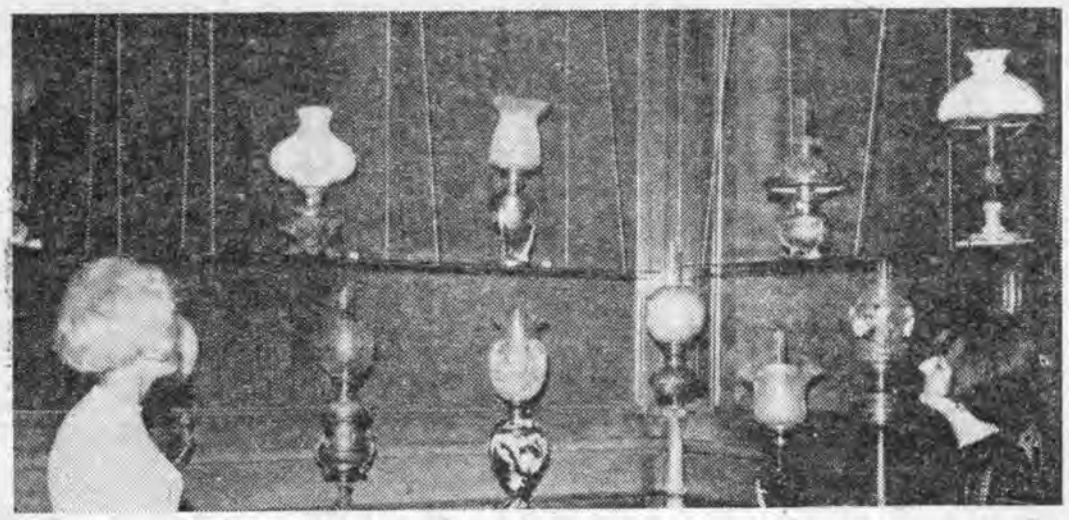

Fot. A. ŁOKAJ

Wszystkiemu winien Łukasiewicz

Współczesne wnętrza, zgodnie z nakazami mody są surowe. Sciany jasne, o jednolitym kolorze, meble uproszczone do maksimum. Nic dziwnego, że po pierwszej fascynacji tą harmonią prostoty, homo sapiens drugiej połowy XX wieku zaczyna szukać przytulności, nastroju, urządzać we własnym mieszkaniu (!) ujutny kącik dla siebie. Tę atmosferę intymności , właśnie drogą kontrastu stwarzają antyki. Moda na wszelkie „rupiecie" — oryginalne zegary, ramy do obrazów, fotele — bujane, serwantki, stoliczki, a przede wszystkim lampy z czasów młodości pradziadków rozwija się bujnie jak rzadko kiedy.

Niecodzienną ucztą dla tego rodzaju szperaczy jest wystawa lamp naftowych, zorganizowana w Salonie Wejściowym Zamku Muzeum w Łańcucie dla uświetnienia IX Dni Muzyki Kameralnej, która jednak czynna będzie jeszcze do końca br. Zgromadzono tu 50 lamp z różnych zbiorów muzealnych naszego województwa, a 3 przywiezione zostały ze stolicy. I warto je było przywieźć bo unikalne i tak urocze w formie, że na ich widok oczy same się śmieją.

— Mieć takie cudeńko w domu, tylko dla siebie i wzniecać zazdrość ekscentryków, maniaków staroci, hobbystów — przyjaciół — myśl tę można było odczytać z wielu spojrzeń osób zwiedzających ekspozycję. Ja upatrzyłam sobie 3 lampy: wiszącą, połączoną ze świecznikiem, która królowała nad ekspozycją, lampę stojącą, z mosiądzu oznaczoną numerem 3, która jest własnością Muzeum Łańcuckiego oraz zabawną lampkę nocną z białej porcelany nr 23 ze zbiorów muzeum w Krośnie. Takie marzenia jak ja miał każdy z oglądających, a marzeniom tym winien jest... Ignacy Łukasiewicz — ojciec lamp naftowych. Przed rekonstrukcją wynalezionych przez niego lamp wszyscy w milczeniu pochylali skroń, bo tak niepokaźnie jak ta lampa wyglądał początek ery, do której dziś wzdychają romantycy, w świetle jarzeniówek i cieple elektrycznych piecyków.

Lampy naftowe — przeżywające dziś swój renesans — historycznie rzecz biorąc miały krótki żywot. Wynalazek Ignacego Łukasiewicza, chociaż jeszcze dziś tu i tam stosowany na co dzień, powszechnie używany był przez dobrych kilka dziesiątków lat i został wyparty przez żarówkę elektryczną. Ten krótki jednak okres starczył na wykształcenie się ogromnej różnorodności form lamp naftowych.

Wystawa łańcucka, bazująca głównie na zbiorach Muzeum w Krośnie była nie lada niespodzianką. Często przecież tak bywa, że gdy jesteśmy w Krośnie nie starczy nam czasu na obejrzenie tamtejszego zbioru w całości lub nie starczy nam pamięci, iż taki zbiór unikalny znajduje się w tym mieście. Przeniesienie do Łańcuta wybranej grupy lamp i rozszerzenie jej o inne ciekawe egzemplarze na dni festiwalu, ściągającego przecież liczne rzesze melomanów i miłośników sztuki w ogóle było dla nich piękną niespodzianką, a zarazem ciekawą lekcją historii oświetlenia, zbliżeniem zbiorów do wielbicieli piękna. Jest też lekcją poznawania Rzeszowszczyzny pachnącej przecież do dziś naftą. Tu, a nie gdzie indziej żył i pracował Ignacy Łukasiewicz — ojciec polskiego przemysłu naftowego, tu, a nie gdzie indziej powstała lampa naftowa, która zdobyła całą Europę, chociaż ich produkcję rozwijał później głównie Wiedeń i różne wytwórnie Niemiec, Francji i Rosji.

Wystawa lamp, którą oglądaliśmy przy dźwiękach starej pozytywki była piękną oprawą festiwalu „Łańcut 1969".

W przyszłym natomiast — naszą chęć posiadania i żyłkę kolekcjonerską drażnić będą bajeczne zbiory szkła stołowego. Niech mi wybaczy kustosz zbiorów łańcuckich mgr Jerzy Żurawski, iż tajemnicę czynię publiczną. Czekamy na wystawę pt. „Staropolskie toasty"!

Na marginesie wystawy lamp naftowych warto zachęcić rzemieślników i przemysł do pomyślenia o produkcji miniatur lamp naftowych, które można by wywozić z Krosna jako unikalne pamiątki. Tę formę stosuje się na całym świecie i jest źródłem niemałych dochodów dla producentów, a radością dla poszukiwaczy pięknych i rzadkich upominków.

MARIA C. GUZIOŁEK

Wystawa lamp naftowych — Łańcut, maj 1969 r. Opracowanie zbioru i ogromnie interesującego katalogu — Stanisław Czarnowski. Organizacja wystawy: dział artystyczno-historyczny Zamku-Muzeum w Łańcucie.

trust mózgów w tej posesji pomieszczony!

Czas takich uroczystości, miłych w atmosferze i rzadko się zdarzających zawsze ewokuje wspomnienia. Bo też zastanów się tylko, jak to już daleko poza nami ów okres akademickiej wspólnoty, beztroski połączonej z wściekłą harówką, lekkomyślnego kupowania ołówka do brwi w miejsce obiadu, zachwytów nad Renanem i azalią z krakowskich plant, szczęśliwej zamiany wrednych matematyk i fizyk na wcale nie lepsze gramatyki historyczne, czas szarpiących nerwy zabiegów o seminaryjną testę i o niebieski kolor sukni na egzamin u profesora-dziwaka. Kiedy tak patrzę w juvenaliowej wesołości na barwny rój dziewczęcy, kiedy słyszę skrawki rozmów, w których słowo sesja jeży się groźnym memento i jakimś tam ułamkiem niepokoju przyćmiewa tę wesołość — wydaje mi się, że czas stanął i że nie było tych lat, jakie poza mną, poza Tobą, poza nami...

Wszyscy znamy, ba, zdążyliśmy wyświechtać maksymę „Vita brevis — ars longa", ale niewielu wie, że wygłosił ją najznakomitszy lekarz starożytności — Hipokrates i że jest ona w rzeczywistości znacznie dłuższa. Bo dalej, po krótkim życiu i nieprzemijającej sztuce idzie „tempus praeceps, experimentum periculosum, iudicium difficile", co ni mniej ni więcej tylko zamyka całe ludzkie działanie. Bo jakże inaczej interpretować ową „sposobność przemijającą, eksperyment niebezpieczny, sąd trudny"? Zdaje mi się, że bez uszczerbku dla logiki życia winniśmy rzeczywiście najpierw mówić o jego krótkości i traktować ją jako ostrzeżenie, ale już wartość sztuki wiecznotrwałej przesunąć na zakończenie całej maksymy, ona bowiem dopiero koronuje gorycz eksperymentów i wszelkie rozterki w podejmowaniu własnych decyzji. A ów „tempus praeceps" — czyli sposobność przemijająca, zdaje się być tutaj najważniejsza.

Moim zdaniem, studenci właśnie usytuowani są w takiej enklawie między beztroską młodości a przyszłym działaniem, enklawie zapełnianej na razie szczelnie wiedzą, która zrodzi jednak lada chwila sposobność dobrego startu, sposobność opowiedzenia się w poglądach, w wyborze działania. Niestety nie wszyscy i nie zawsze pamiętają o tym, że sposobność może przeminąć bezpowrotnie, że mściwe w skutkach bywa przeoczenie odpowiedniego momentu startu w dorosłość zawodową i światopoglądową, że zgodnie z piekielną logiką hipokratesowej maksymy, sformułowanej przed 23 wiekami, gdy przeminie sposobność, ominie nas równocześnie smak twórczych doświadczeń, trud zwycięskiego sądu — i owo zadośćuczynienie, wyrażające się lapidarnym „ars longa"; jedyne zadośćuczynienie, którym historia twórcę wynagradza.

„Nawiedziła" mnie ta maksyma i dlatego rozbieram ją na nasz epistolarny użytek w momencie, gdym wespół z chrzestnym ojcem ściągała płótno, przykrywające nazwę „Akapitu", gdy żakowie wesoło hałasowali wokół, gdy nie była to może najstosowniejsza chwila, by ją podać pod ich roztrząsanie. Zatrzymałam ją przeto w sobie do dnia dzisiejszego i jest mi motywem przewodnim we wszelkich refleksjach nad studenckim żywotem; i tym z ponętami radosnej młodości — i tym drugim, w którym jest już tylko miejsce na pracę. Zwyczaj nakazuje, by ceremonię chrztu uświetnić podarunkiem. Bywa, że najpiękniejszy przynoszą właśnie rodzice chrzestni. Pomyśl jednak, Drogi, jak obdarować i czym obdarować gromadę uroczych dziewczyn, z którymi życie obeszło się wcale przyzwoicie, otwierając im najponętniejsze perspektywy przyszłości, jakie daje tytuł naukowy? Ojciec chrzestny świetnie wybrnął z sytuacji, kiedy na zakończenie uroczystości pięknym paniom życzył świetnych małżeństw; rola matki bywa zwykle mniej efektowna w życiu rodzinnym — na ogół pilnuje, przypomina, przestrzega, podpowiada. Przyznasz, że mniej wdzięczne to zajęcie, ale pomyśl zarazem, czym byśmy byli i jak swym życiem pokierowali, gdyby nie matczyne zabiegi, zrzędzenia? Strach pomyśleć nawet, co nam wtedy w duszach grało, gdy życie nietknięte mieliśmy przed sobą, gdyśmy pracę widzieli jako dodatek wcale w tym długim życiu nie taki znów konieczny...

Przeto tak sobie zrzędząc po matczynemu i przy pomocy starenkiego Hipokratesa, nie obrażę ich pewnie — tych moich miłych „Akapitek", gdy im tę maksymę w darze złożę, gdy zaproponuję jej umieszczenie na widocznym miejscu akapitowego hallu i gdy je przestrzegę raz jeszcze, że tempus praeceps, że sposobność czasem się marnuje...

A w cichości i na zakończenie Ci wyznam, że odmłodzona w tym nagromadzeniu uroków autentycznej, juvenaliowej młodości, rozsadzającej maciopki klub „Akapit" w „Akapicie" — raz jeszcze pożałowałam, że vita brevis i to tak bardzo krótkie, tak nieubłaganie krótkie oraz przypomniałam sobie jeszcze jedną maksymę, że młodość jest grzechem, który z każdym dniem maleje...

KRYSTYNA

Stanisław Rams

...Gdy ludzie nie muszą umierać!

— Oto opowieść o człowieku, który... zna cenę życia. Gdy wojna dotarła do mojej wioski na Białostocczyźnie wstąpiłem do I Armii Wojska Polskiego zostałem skoczkiem spadochronowym. Zrzucony w lasy lubelskie, śpieszyłem z oddziałem na pomoc partyzantom kieleckiej ziemi. Zajmowaliśmy się wysadzaniem mostów, torów kolejowych, niszczeniem pociągów wiozących hitlerowców na wschód. Na rozkaz radiowy przedarliśmy się przez front. Skierowali mnie do zwiadu IV Dywizji.

W Warszawie, na zwalonym moście Kierbedzia, stoczyliśmy walkę na noże z hitlerowskim patrolem. Pod Toruniem zabili mi połowę ludzi w grupie. W rejonie Piły na Wale Pomorskim, wpadliśmy w zasadzkę; nasze ciała od uderzeń kolbą przybrały odcień fioletu. W Kołobrzegu wylali na mnie z balkonu kubeł palącej się benzyny. W sitowiu szczecińskiego jeziora, kumple obrzucili nas omyłkowo granatami: byliśmy w mundurach Wehrmachtu. Na przedmieściu Berlina łapaliśmy hitlerowskich generałów. Dwa razy byłem ranny. Dwa razy uciekałem z polowego szpitala. Walczyłem z przekonaniem, że na wojnie nie każdy musi umrzeć. Im większe było ryzyko, tym bardziej byliśmy dumni z siebie.

Polubiłem żołnierską robotę zwiadowcy. Jak pająki po swoje ofiary, skradaliśmy się milczkiem do bunkrów i okopów wroga. Długie nieraz godziny czekaliśmy cierpliwie na swoją zdobycz. W zagajnikach, stogach siana, pod płotem przewróconym, spędzaliśmy świty i różowe zmierzchy. Z żywym łupem, z oniemiałym hitlerowcem wyrwanym z błogiego snu, wracaliśmy z udanego „polowania". Przed oficerem dochodzeniowym nucił on potem swą pieśń zdrady: gdzie są ich jednostki rozmieszczone, w jakiej sile walczą, jakie mają uzbrojenie?

Powiem szczerze, ciężko bywało. O niepowodzeniach, klęskach, żaden żołnierz nie chce mówić. Potomni cieszą się więc z sukcesów swoich ojców, z ich czynów doskonałych, chwalebnej odwagi; zazdroszczą im przeżyć i frontowych emocji. Obraz wojny z każdym rokiem traci swą rzeczywistą, nieludzką treść; urasta w otoczkę sentymentów, ciekawych wspomnień i niezwykłości. Tak już widocznie musi być. I mało kto rozumie, dlaczego w nas mieści się tyle upartej prozaicznej tęsknoty do cichego domku, ustrojonego w zieleń, do radia na półce szepczącego muzykę Szopena, do książki czytanej w niedzielne popołudnie. Bo tylko żołnierz, który wiele przeżył, zna prawdziwą cenę życia bez wojennego zgiełku.

9 maja, dzień zwycięstwa, nie kończył mojej wojny z wrogiem. Plutonowy Stanisław Sawicki! — powiedział do mnie dowódca — zaraz ucieszę was nowiną. Jeszcze postrzelacie sobie trochę zanim ojczyzna będzie wolna od wszelkiego draństwa! Tworzy się Korpus Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Zasługujecie w pełni na to, aby walczyć nadal w jego szeregach.

Kryła się w tych słowach jakaś gorycz, kpina z naszego wspólnego losu. Bo jemu, jak również mnie pachniało pokojowe życie. Dość mieliśmy wojny, rozlewu krwi. Ale ktoś tę robotę musiał ciągnąć do końca.

Wtedy byliśmy już w Warszawie. Myszkowaliśmy po ruinach miast za niedobitkami hitlerowców, ukrywającymi się z bronią w ręku. Oczyszczaliśmy ziemię mazurską, lubelską, białostocką. Od reakcyjnych band. Po odpowiednim przeszkoleniu, wyodrębniony został 5 Samodzielny Batalion Operacyjny.

* * *

Pod wieczór pociąg zatrzymał się na Staroniwie. Ziemia rzeszowska przywitała nas ogniem. Zabity został jeden kolega. Pościg zakończył się niepowodzeniem. Tej samej nocy wysłano nasze pododdziały na operację w kierunku Tyczyna. Uzbrojone oddziały niepokoiły od dawna ludność. Wróg opracował przebiegłą taktykę swego działania. Z początku niełatwo było mu sprostać.

W powiatach tarnobrzeskim, mieleckim, niżańskim, kolbuszowskim, dębickim, grasowali ludzie Tarzana, Lisa, Zapory, Rejmana, Mściciela. Krwawym śladem znaczyli swą aktywność ludzie Wołyniaka, Mewy, Żbika, Wewarta, Draży, Jastrzębia; atakowali młodą władzę ludową w Leżajsku, Przemyślu, Lubaczowie, Jarosławiu. Południowe tereny zostały opanowane przez faszystowskie ugrupowania ukraińskie oraz grupy bojowe Żubryda, Czarnego, Mundka, Cieśli i innych.

Gdyśmy włączyli się do walki, w rzeszowskim województwie nastąpiła już pewna integracja podziemia. W Rzeszowie komenda Okręgu Narodowej Organizacji Wojskowej przeprowadza rozbudowę swych placówek o powiatowych odpowiedników w całym województwie. Lubaczowskie było, praktycznie rzecz biorąc, całkowicie opanowane przez reakcjonistów. Komenda Powiatowa NOW w Lubaczowie posiadała na swoim uzbrojeniu kilka karabinów maszynowych, ponad sto sztuk innej broni, nie mówiąc już o wielkich zapasach amunicji, granatów. Podobnie Podkarpacie znalazło się w rękach terrorystów.

Mnożyły się gwałty na spokojnej ludności. Mordowano znienacka aktywistów partyjnych. Zabijano w biały dzień milicjantów, żołnierzy, pracowników rodzącej się administracji państwowej. Paliły się nocą wioski.

Długi jest rejestr ich czynów krwawych. W powiecie rzeszowskim i brzozowskim działa oddział pod dowództwem Draży, w sile trzysta osób. Ginie z ich rąk w gromadzie Straszydle Franciszek Topolski, młody chłopak, funkcjonariusz Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Rzeszowie. Zabijają jego kolegę, Albina Kędzierskiego. Podziemie z okolic Błażowej morduje burmistrza tego miasteczka — Stanisława Marczaka, potem komendanta milicji Stefana Ortyla. Z rąk reakcji umiera komendant posterunku MO w Czudcu — Andrzej Rozborski. Życie za młodą władzę ludową oddaje komendant milicji z Racławówki — Stanisław Stachowicz; grupa Bicza napadła na jego dom, podpaliła zabudowania. Zginął z łap reakcjonistów członek PPR w Zgłobniu — Walenty Kaszuba.

W Rzeszowie podziemie pod dowództwem Popka zamordowało kilku pracowników Urzędu Bezpieczeństwa.

W niedługim czasie poległy na tej biednej, zmęczonej wojną ziemi, setki najbardziej ofiarnych działaczy partyjnych, milicjantów, żołnierzy. Atakowano ludzi radzieckich, powracających z frontu do swoich domów. 8 maja 1945 roku zjednoczone pododdziały Wołyniaka, Majki, Radwana, Lisa, dokonały zasadzki na oddział Armii Radzieckiej, w rejonie Kuryłówki. Zabito 57 żołnierzy.

Chodziliśmy ich tropem. Nocą ślęczeliśmy w zasadzkach. Widzieliśmy ich okrucieństwa i byliśmy nieraz bezradni. Nie zawsze zdążyliśmy w porę pośpieszyć z odsieczą. Dla nas wojna trwała przynajmniej o trzy lata dłużej. Tkwiliśmy po uszy w samym kotle rozpalonej do białości walki klasowej.

W tym czasie poznałem dziewczynę w Słocinie, pobraliśmy się. Płakała całymi dniami, gdy wyjeżdżałem na akcję. Nigdy nie wiedziała, czy wrócę żywy. Stargały nam zdrowie — tamte lata. Gdy dzieciak przyszedł na świat, Wiktoria codziennie błagała mnie na wszystko: daj już spokój, zabiją cię! Nie chcę zostać sama.

* * *

Umilkły strzały zza węgła. Życie powoli wracało do normy. Przyjęli mnie na robotnika w rzeszowskiej Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego. Okazało się wtedy, że właściwie nic nie umiem. Ręce nawykły do kolby karabinu, stały się oporne przy warsztacie. Nie wróciłem już do swojej wioski na Białostocczyźnie. Przygarnęła mnie Słocina, osada podrzeszowska.

Trudności nie były mi obce. Życie nauczyło mnie hartu. Zacząłem się uczyć. Najpierw musiałem ukończyć szkołę podstawową. Zrobiłem kurs czeladniczy. Potem mistrzowski. Awansowali z czasem na brygadzistę. Członkowie partii wybrali mnie na swego grupowego. Moi ludzie zdobyli tytuł Brygady Pracy Socjalistycznej. Pozawieraliśmy przyjaźnie. Uciekamy nawet myślą do tamtych lat.

Gdy ktoś nieraz szemrze, że życie jest ciężkie, budzą się we mnie sprzeciwy. Bo wszystko zależy od tego, z jakiej pozycji był nasz start. Ja startowałem niemal od zera. Od rozpaczliwej, upokarzającej nędzy. Dla mnie dzień dzisiejszy jest błogosławieństwem. Cieszą mnie sprawy, wokół których inni przechodzą raczej obojętnie.

* * *

O zachodzie słońca reporter wraca do autobusowego przystanku. Upal zelżał, od pól ciągnie zapachem rozgrzanej ziemi. Krzykliwi chłopcy gonią piłkę po murawie. Przez okno, gdzie parapet zielenią kwiaty, głos spikera podaje komunikat o walkach w wietnamskiej dżungli.

... Piękny jest czas, gdy ludzie nie muszą umierać...

Rys. J. SIENKIEWICZ

Recenzja filmowa

GRA

Najogólniej mówiąc, tematem „Gry", nowego filmu reżyserii Jerzego Kawalerowicza, są wzajemne związki między kobietą i mężczyzną, a raczej wielorakie konflikty, które rodzą się z tych związków. Temat więc nie nowy, od dawien dawna eksploatowany w literaturze, teatrze i filmie, lecz ciągle jeszcze fascynujący artystów niezliczonymi możliwościami interpretacji i zawsze atrakcyjny dla widowni. Eksploatował go zresztą i Kawalerowicz w „Pociągu" i w „Matce Joannie od Aniołów".

Ale poza tematem w bardzo ogólnym znaczeniu — trudno byłoby doszukać się jakiejś wspólnoty między „Grą", a tamtymi dziełami. Dominowała w nich miłość, uczucie piękne, które w pierwszym okazało się złudą, wywołaną nastrojem chwili, w drugim — doprowadziło do katastrofy. W „Grze" nie ma miłości, jest za to cynizm. W dorobku twórczym Jerzego Kawalerowicza film ten jest rzeczywiście wielką nowością, szczerze mówiąc — chybioną i artystycznie trochę podejrzaną.

Podejrzenia budzi przede wszystkim para głównych bohaterów (Lucyna Winnicka i Gustaw Holoubek), którzy prowadzą ze sobą grę bardzo nieuczciwą, polegającą na świadomym kłamstwie i moralnym znęcaniu się nad partnerem. Być może tych dwoje ludzi kiedyś kochało się, lecz w chwili, kiedy ich poznajemy, chyba się nienawidzą. Wszyscy wokół nich są zakłamani, rozhisteryzowani albo cyniczni.

Oglądając „Grę" nie sposób oprzeć się wrażeniu, że chodzi tu nie tyle o analizę odwiecznej walki płci, co o próbę skompromitowania instytucji małżeństwa we współczesnym świecie. Wrażenie to wywoływane jest przede wszystkim przez symboliczny jak gdyby charakter owej pary małżeńskiej, głównych bohaterów filmu. To nie jest jakieś konkretne małżeństwo, lecz po prostu Mąż i Żona, w sensie pewnego uogólnienia. Żona jest architektem, o Mężu tylko tyle wiemy, że zajmuje jakieś bardzo wysokie chyba stanowisko w hierarchii urzędniczej, skoro z obowiązku służbowego niejako jeździ na polowania, za którymi nie przepada. Odbierając swym bohaterom indywidualność — reżyser kreuje ich na jakieś symbole i w ten sposób wszystko co mówią i robią staje się pewnego rodzaju syntezą pożycia małżeńskiego.

Znajduje to potwierdzenie w jednej ze scen filmu, której bohaterowie pochodzą z innego już środowiska, bardzo wyraźnie określonego — w scenie wesela u badylarzy. Niby krańcowo inny świat, ale przecież od razu wiadomo, że panna młoda będzie prowadzić z mężem podobną grę, może trochę prymitywniejszą, polegającą nie na perfidnym zastępowaniu prawdy pozorami i pozorów prawdą, lecz na cynicznej licytacji. Młoda dziewczyna wyznaje przecież, i to nie bez dumy, że przed ślubem miała trzydziestu kochanków i że teraz, kiedy jest mężatką, będzie ich miała jeszcze więcej.

Podejrzany jest ten świat, który nam ukazuje Kawalerowicz, sugerując nader ryzykowne uogólnienia; świat znany z modnych filmów zachodnich, powstałych pod wpływem seksuologicznej literatury, nie mający wszelako pokrycia w naszej rzeczywistości. W tych warunkach synteza, do której dąży twórca filmu, brzmi nieprzyjemnym zgrzytem, jest dość rażącym fałszem, którego nie tonuje znakomity chwilami warsztat realizatorski, jaki możemy podziwiać w „Grze".

Kawalerowicz jest nie lada mistrzem reżyserii. Tym razem stosuje bardzo nowoczesną, ciekawą dramaturgię, która polega na odejściu od jednolitej struktury i rozbiciu filmu na małe epizody, pozornie nic lub niewiele znaczące, które w sumie jednakże pozwalają widzowi zbudować pełny obraz tego nieciekawego skądinąd świata i naszkicować jednoznaczne sylwetki jego równie nieciekawych bohaterów

CZESŁAW MICHALSKI

* „Gra" — film produkcji polskiej, zrealizowany w roku 1968. Scenariusz — Jerzy Kawalerowicz i Andrzej Bianusz. Reżyseria — Jerzy Kawalerowicz.

Kłopoty z kielnią

Justyna Woś

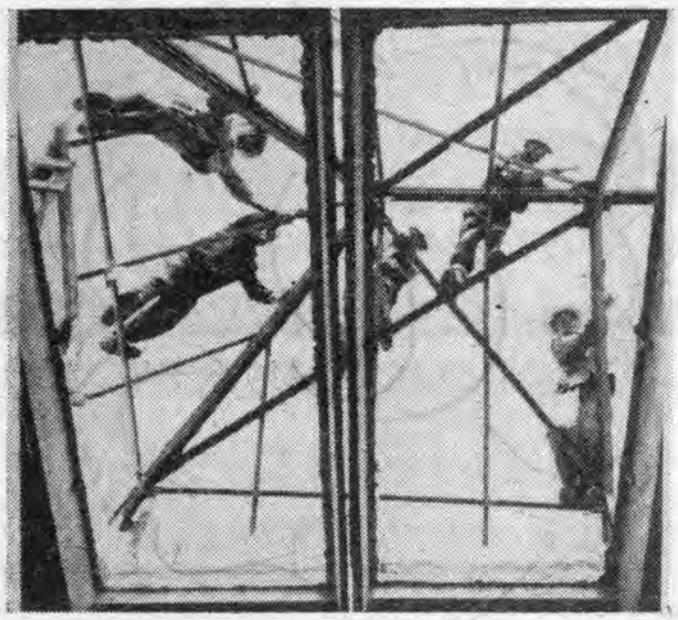

Fot. A. ŁOKAJ

Niezręcznie jest zaczynać od liczb. Ale one mają właśnie swoją wymogę. Jeżeli więc powiemy, że Rzeszowskie Zjednoczenie Budowlane zatrudnia 15 800 ludzi, a rocznie brakuje jeszcze — okrągło biorąc — 2 tysiące kwalifikowanych robotników, to dalej rozumując nie dojdziemy do radosnej konkluzji. Sprawa wyglądać będzie jeszcze bardziej ponuro, gdy dorzucimy jeszcze jedną uwagę; chętnych do zawodów budowlanych jest niewielu.

Większość murarzy, tynkarzy, cieśli i innych — to „gwardia", która ma za sobą lata pracy; jeszcze rok, dwa, pięć, dzieli ich od emerytalnego wypoczynku. Wśród młodych te profesje nie cieszą się popularnością, zaliczane są bowiem do rzędu nieatrakcyjnych zawodów. To prawie paradoksalne, że na kierunek murarza Zasadniczej Szkoły Budowlanej dla Pracujących w Rzeszowie zgłosiło się dotąd nie mniej nie więcej jak... czterech kandydatów. Kto nam będzie budował za te x lat, kiedy odejdą starsi, kto przejmie po nich kielnię?

W 1964 roku powstała szkoła, różniąca się od „zawodówek" budowlanych nie tylko dopiskiem w szyldzie: dla pracujących. Program nauczania nie wnosi różnic poza tą, że obok teorii położono duży nacisk na praktyczną naukę zawodu. Przez trzy lata — pół tygodnia za pulpitami w szkole, a pół na budowlanych placach — spędzają uczniowie. Toteż pierwsze sygnały przynoszą dobrą opinię o absolwentach tego typu szkół; znają fach nie tylko od strony książkowych mądrości. Te „zawodówki" w swojej hierarchicznej zależności podlegają Ministerstwu Budownictwa, a nie Oświaty, mają bezpośredniego patrona i pracodawcę w Rzeszowskim Zjednoczeniu Budowlanym — stąd tak duża troska o praktyczne przygotowanie do zawodu.

W Rzeszowie uczy się około siedmiuset przyszłych budowlanych. Niedaleka perspektywa zapowiada powiększenie liczby miejsc do około tysiąca.

Podobne szkoły istnieją jeszcze w Jaśle, Przemyślu, Sanoku; planuje się otwarcie jeszcze w Tarnobrzegu. Możliwości zdobycia zawodu duże, ale...

Niedawno w gabinecie dyrektora Zasadniczej Szkoły Zawodowej dla Pracujących w Rzeszowie toczyła się nieoficjalna dysputa między przedstawicielami Zjednoczenia i pedagogami — rozważająca „za i przeciw" przemawiającymi za atrakcyjnością zawodu w budownictwie. Uogólniając, można streścić wnioski w kilku zdaniach. Przede wszystkim nastąpiło w opinii społeczeństwa niesłuszne przewartościowanie pojęć pewnych zawodów. Zacznij my może od „profesji z kielnią". W erze konstrukcji żelbetonowych śmieszyć może słowo „murarz" — swoim anachronizmem. To niedocenianie profesji o wiekowej tradycji — wynika dziś chyba z niezbyt jasnego pojmowania sensu nowoczesnej budowy. Ogrom prac — to zadania nadal spadające na robotników o kwalifikacjach, które tylko pozornie mogą wydawać się przeżytkami w kontekście współczesnego postępu technicznego. Niemałą rolę odgrywa także psychologiczny moment; tzw, moda, która w poważnym stopniu wpływa na wybór zawodu. A praca budowlanego jest ciężka i nie ma może tych łatwo uchwytnych — nazwijmy — „zewnętrznych walorów" imponujących kandydatom. Niemniej jednak ma też i swoje „atrakcje". Przede wszystkim podczas trzyletniej nauki zapewnia się uczniom bezpłatny internat, stołówkę i wynagrodzenie za pracę (podczas praktycznej nauki zawodu) w pierwszym roku po 420 zł miesięcznie. Ponadto szkoła stwarza szerokie możliwości do rozwijania zainteresowań ucznia; dysponuje dobrze wyposażoną świetlicą, istnieją zespoły muzyczne, zespoły sportowe itp. Natomiast absolwentom Zjednoczenie zapewnia pracę ze skróconym stażem wstępnym, zawsze też istnieją szanse kontynuowania nauki i podnoszenie swoich kwalifikacji przez dalsze kształcenie w technikum dla pracujących i na wyższej uczelni. Są to więc argumenty mocne, które powinno się uwzględnić przy podejmowaniu zawodowej decyzji.

Na koniec wypada zostawić jeszcze „atrakcję" najbardziej sugestywną i przemawiającą do... wyobraźni. Te właśnie zawody budowlane będące w cieniu współcześnie eksponowanych i modnych — są cenione nie tylko na naszych budowach, ale i za granicą. W tym właśnie miejscu można pozwolić sobie na małą dygresję.

Rzeszowskie Zjednoczenie Budowlane jest jednym z niewielu w kraju, które ma prawo „eksportu" robotników kwalifikowanych na roczne umowy pracy za granicą. Były więc już grupy z Rzeszowa w Libii, w NRD, wyjeżdżają też do Czechosłowacji. Wśród ostatniej trzystuosobowej ekipy znaleźli się również absolwenci szkoły, o której mówimy. I od razu musimy powiedzieć, że najbardziej poszukiwani tam — to właśnie robotnicy o umiejętnościach, które współczesna nasza opinia „zdegradowała". Tych właśnie ludzi warto by zapytać co sądzą o swoich zawodach. Pracują nielekko,, ale wiedzą również, z jaką korzyścią społeczną i indywidualną.

Odeszliśmy od meritum sprawy, ale i to niech posłuży jako dowód, że te niepopularne zawody się nie przeżyły, ale wręcz przeciwnie; robotnicy o takich kwalifikacjach są gorączkowo poszukiwani. Brak ich w poważnym stopniu determinuje „produkcję" budownictwa w ciągle wzrastających potrzebach.

Szkoła zaś czeka na kandydatów...

Proszę Państwa, być pisarzem to wspaniała rzecz. Szczególnie, jeśli się ma trochę wyobraźni. Pisarze — szczęściarze.

Bo co takiemu pisarzowi brakuje? Chce podróżować? Otwiera atlas, wodzi palcem po mapie i pisze relację z podróży. Chce mieć auto, sekretarkę, albo kanarka? Zamyka oczy, przywołuje wyobraźnię i ma wszystko. Kiedy jest samotny, potrafi sobie nawet przyjaciół wymyślić albo przyjaciółkę — on ich po prostu pisze. I byłoby niegrzecznością zwrócić mu uwagę, że to tylko literacka fabuła i bluff.

Znałem jednego pisarza, który miał zwyczaj kończyć każdą książkę śmiercią bohatera. A potem przez wiele tygodni nosił po nim żałobę, tak jakby chodziło o śmierć prawdziwego człowieka. Taki był uczuciowy.

Jeśli chodzi o mnie, to nie lubię pogrzebów i dlatego bohaterom moich książek pozwalam długo żyć. Przyjaciół nie stwarzam sobie z wyobraźni, bo mam przyjaciół prawdziwych, żywych.

A jeśli czasem bywam trochę samotny, to jadę gdzieś na spotkanie z czytelnikami. Niekiedy są to czytelnicy moich książek, i wówczas nie żałują mi życzliwych rad i pouczających porównań. Więc czasem ktoś doradzi, żebym próbował pisać tak jak Sartre pisze. A ktoś inny znów — żeby jak Rodziewiczówna, albo jak Pitigrilli. Albo żeby to jakoś wypośrodkować — trochę tak i trochę tak.

Wczoraj byłem w Klubie Pracowników Budowlanych. Mówiłem o strukturze nowoczesnej powieści. A oni o swoich domach, które budują. Ja im o oszczędności słów w książkach, a oni o oszczędności cementu. Potem oni o książkach, z których wieje nudą. No, to ja im o architektach, którzy projektują kuchnie bez okien. Wiec oni już chcą mnie udobruchać i mówią o dobrych książkach, które można czytać dziesięć razy, takie są piękne. Na to ja im o naszych wspaniałych wieżowcach, które są triumfem nowoczesnej architektury. No i tak pomaleńku dogadaliśmy się.

W Klubie Młodego Rolnika ktoś prosi o tematykę wiejską. W górniczym Domu Kultury jeden sympatyczny sztygar zamawia u mnie powieść o górnikach. Drobna wytwórczość upomina się o swój temat. Emeryci o swój. W świetlicy pracowników MHD proszą mnie o jakieś opowiadanie z życia ekspedientek. I słusznie. Każdy upomina się o swoje. Każdy pragnie w książce znaleźć siebie i swój świat.

Wyjaśniam, że codziennie ukazują się w naszym kraju przeszło trzy książki z literatury pięknej. Jest z czego wybierać.

A to, czego jeszcze nie ma — napiszemy...

„Czy znasz aktora filmu polskiego?"

Ostatnio został rozstrzygnięty konkurs „Czy znasz aktora filmu polskiego?" zorganizowany z okazji „Przeglądu Filmów Polskich 1969" w 25-lecie PRL przez Centralę Wynajmu Filmów, Wojewódzki Zarząd Kin i „Widnokrąg".

Na konkurs wpłynęło 6 440 kuponów. W wyniku losowania w obecności komisji nagrody otrzymują: **Adam Dunaj** z Krajowic — aparat fotograficzny, **Teresa Stawiarz** z Chodkowa Nowego — suszarkę do włosów, **Krystyn Bojarski** z Łodzi — komplet do pisania. Nagrody książkowe otrzymują: **Grażyna Teofil, Czesław Czudak, Jacek Socha, Barbara Czepiela, Grażyna Górecka, Janina Trybus, Danuta Adamiak, Krystyna Babiał, Aleksander Pikor, Maria Konier.** Wszystkie nagrody organizatorzy prześlą pocztą. (g.)

KSIĄŻKI

MOJE PIERWSZE KROKI NA ZIEMI. **Iskry, s. 404, cena zł 20.**
Dwunasty to chyba tom, na który składają się fragmenty ankiet czytelniczych. Tym razem jest to zbiór wypowiedzi młodych rolników w odpowiedzi na ankiety ZG ZMW oraz „Zarzewia". Kilka pochodzi z naszego województwa, kilka z nim się wiąże. Jak zwykle kawał autentycznego życia. Wybrali i opracowali Jerzy Grzybczak, Jan Socha, Stanisław Zagórski. Na końcu książki szkic Bronisława Gołębiowskiego pt. „Dążenia i postawy młodych rolników".

Tadeusz M. Pasierbiński: ŚMIERĆ W TECHNIKOLORZE. **MON, s. 192, cena zł 13.**
Oczywiście Kongo. Oczywiście biali najemnicy. Ponadto o Czombem, Mobutu i innych. Przede wszystkim o tych, którzy białych najemników kupują, instruują i posyłają do walki. Czyta się jak powieść sensacyjną.

Bronisław Dziubek: ZACZYNAŁEM U LILPOPA. **KiW, s. 220, cena zł 20.**
Pamiętnik ten uzyskał pierwszą nagrodę w konkursie na wspomnienia warszawskie. Powiśle lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia, zrusyfikowane gimnazjum, rok 1905, Lilpop, Wrzesień. Ludzie i epoka.

Ryszard Górski: DRAMAT LUDOWY XIX WIEKU. **PIW, s. 242, cena zł 25.**
Na obszernym tle epoki i twórczości ludowej, szczególnie w Galicji i Lodomerii kreśli autor biografię Jana Kantego Galosa, znanego jako Galasiewicza, twórcę „Czartowskiej ławy".

Karol Bunsch: ZDOBYCIE KOŁOBRZEGU. PSIE POLE. **Wyd. IV. Wyd. Literackie, s. 332, cena zł 22.**
Jest to ciąg dalszy jednolitego w szacie graficznej i oprawie cyklu powieści historycznych tego autora „Dzikowego skarbu". Okres Piastów.

Maria Dernałowicz: ADAM MICKIEWICZ. **Wyd. Interpress, s. 116, cena zł 15.**
Jest to monografia życia i twórczości Adama Mickiewicza, bardzo popularnie przedstawiona, z myślą o czytelniku zagranicznym.

Janina Siwkowska: PAN CHOPIN OPUSZCZA WARSZAWĘ. **KiW, s. 168, cena zł 20.**
Trzecie wydanie książki o Warszawie i Chopinie, pisanej ze znawstwem przedmiotu i lezką. Świetne ilustracje Antoniego Uniechowskiego, tak znane nam w stylu z „Kształtu miłości" Broszkiewicza.

Maria Pruszkowska: 7 BABEK, 1 DZIADEK. **Wyd. Morskie, s. 226, cena zł 16.**
Jest to już piąta powieść tej autorki. Oto tytuł jednego z rozdziałów: „O tym, jak Paulina wpadła w szpony Konstancji, ponieważ jedna, jak i druga w historii o dziadku odegrały dużą rolę". Lektura na lato.

Stanisława Fleszarowa-Muskat: ZATOKA ŚPIEWAJĄCYCH TRAW. **Wyd. Morskie, s. 224, cena zł. 22. Wydanie drugie.**
Drukowana przed dwoma laty w „Nowinach Rzeszowskich", powieść gdańskiej autorki o produkcji, życiu na statku, miłości.

Stanisława Sowińska: POD ZNAKIEM TRÓJZĘBA. **Wyd. Morskie, s. 264, cena zł 20.**
Wrażenia z rejsu do egzotycznych krajów Bliskiego i Dalekiego Wschodu. Głównie folklor, koloryt i obyczajowość. Z humorem potraktowane własne śmiesznostki i perypetie.

Jan Józef Szczepański: MOTYL. **Czytelnik, s. 476, cena zł 21.**
Drugie wydanie jedenastu utworów autora „Polskiej jesieni", za którą otrzymał nagrodę Hemingwaya. Współczesne. W serii kieszonkowej.

Rumer Godden: INSPEKTORZE NA POMOC! **Tłum. J. Olędzka. Iskry, s. 220, cena zł 16.**
Angielska pisarka starszego pokolenia. Francuskie miasteczko. Wakacje. Pięcioro dzieci angielskich. Kłopoty dojrzewania, pierwsza miłość. Wielka, niebezpieczna przygoda.

Adrian Czobot: SKOK ŚMIERCI. **Iskry, s. 48, cena zł 6.**
W cyklu „Powieść co miesiąc" kolejna pozycja kryminalna. Piąta z kolei. Środowisko cyrkowców. Milicja szuka sprawców zuchwałych włamań.

Lech Pijanowski: PODRÓŻE W KRAINIE GIER. **Iskry, s. 360, cena zł 36.**
Gry w rozwoju historycznym, przekroju „klasowym", naukowo. Opis wielu gier towarzyskich.

Bogdan Frankiewicz: PRACA PRZYMUSOWA NA POMORZU ZACHODNIM W LATACH II WOJNY ŚWIATOWEJ. **Wyd. Poznańskie, s. 188, cena zł 30.**

Jan Heidrych: EKONOMICZNO-SPOŁECZNE PRZEOBRAŻENIA NA WSI WIELKOPOLSKIEJ W LATACH 1945—1965. **Wyd. Poznańskie, s. 314, cena zł 50.**

Zofia Szymańska: DZIECKO NIEZNOSNE, CZY CHORE. **Wyd. III uzup. PZWL, s. 272, cena zł 12.** „Rady dla rodziców".

Wojciech Beer: O MIMOWOLNYM MOCZENIU U DZIECI. **PZWL, s. 48, cena zł 4. Wyd. III.**

Jerzy Fabian: UMOWA O PRZEWÓZ LOTNICZY W PRAWIE POLSKIM. **Wyd. Prawnicze, s. 100, cena zł 16.**

Kartki dla Ewy

Lenie

Każdemu z nas trafi się od czasu do czasu rzucić w kąt najpilniejszą robotę, zlekceważyć obowiązki, ale do lenistwa nie przyznajemy się nigdy. Ponoć człowiek dorosły wolny jest od tej brzydkiej przywary. Przyczyną nieróbstwa bywa zdrowie, stosunki miedzyludzkie i szereg innych, skomplikowanych okoliczności. Wada nie tkwi w nas samych, przychodzi z zewnątrz, by gnębić człowieka. Chętnie więc usprawiedliwiamy sami siebie mówiąc, że nawet koń w kieracie zdycha, a robota nie zając, nie ucieknie.

Tak więc dla młodych nie jesteśmy znakomitymi przykładami pracowitości, ale dużo o tym gadamy. W szkole zawsze mieliśmy pierwszorzędne stopnie, czyste uszy i palce bez ogryzionych paznokci. Zawsze szanowaliśmy starszych i nikt z nas nie hańbił się kłamstwem.

Dla nich są to argumenty mało przekonywające i większość z nich trudno sprawdzić. Tato, który nie złapał dwójki, nie podarł spodni jeżdżąc po poręczy był maminsynkiem. Cóż za przykład do naśladowania? Trudno uwierzyć w bohaterskie czyny pana w sile wieku, który drzemie przed telewizorem, a nie męczy się jedynie wycieczką do knajpy. Jak uznać autorytet i mądrość rodziców, kiedy przeważnie brak im czasu na sprawy dziecka, nie chcą, a może nie potrafią wytłumaczyć wielu zagadnień.

Wikt i opierunek to jeszcze nie wszystko. Sprawy ducha są znacznie ważniejsze. Z dzieckiem trzeba rozmawiać, kształtować charakter, interesować się tym, co myśli, co robi, jakie ma projekty na przyszłość.

Znam chłopca, który stale zbiera dwóje, ostatnio dorobił się dziewięciu, chociaż repetuje szóstą klasę. Padł projekt przeniesienia go do szkoły specjalnej. W trakcie badania u psychologa chłopiec wykazał zupełnie dobrą sprawność umysłową, zainteresowania techniczne, wytrwałość w rozwiązywaniu testów. Miał natomiast trudności w określeniu nawet prostych pojęć. No i okazało się, że, niestety, winni są rodzice. Oboje niesłychanie zapracowani, nie mieli czasu dla syna. Szkoda było również pieniędzy na kino, książki, rozrywki. Kiedy zaczęły się kłopoty w szkole, zabroniono także kontaktu z rówieśnikami, spaceru, telewizji.

Dla nieróbstwa młodych brak nam usprawiedliwienia. Mają uczyć się, pomagać rodzicom i basta. Każda dwója w szkole to dowód złośliwości. Rzadko się zastanawiamy, co bywa jej przyczyną. Przekonani jesteśmy, że młodzież począwszy od trzynastego roku życia to patentowane lenie i zakały rodziny. Upewnia ją o tym własny dom, hojnie szafując tumanami za każdy niedostateczny stopień, no i szkoła, tłumacząc, że my, dorośli, tak strasznie się dla nich niewdzięcznych męczymy.

Lenistwo u dzieci ma dwa aspekty. Pierwszy wypływa z konstytucji psychofizycznej. Zaliczamy tu dzieci chorowite, o chwiejnym systemie nerwowym, dużej pobudliwości emocjonalnej, także dzieci z pogranicza normy intelektualnej, które przy pomocy ze strony nauczyciela doskonale mieszczą się w klasie.

Drugi aspekt to wady systemu wychowawczego. Zbyt wielkie wymagania, brak pochwały, rozbudzanie jednostronnych zainteresowań, brak wreszcie w środowisku dziecka aprobaty do wysiłku, bardzo szybko powoduje zniechęcenie.

Trzeba pamiętać, że lenistwo wiąże się z okresem dojrzewania. Jest to czas ostrych konfliktów ze środowiskiem, czas buntu i osamotnienia.

Dla naszego własnego dobra bronię młodzież, która już nieraz dobrze nam sadła za skórę zalała. Zbyt często zupełnie jej nie rozumiemy, jest nie do przyjęcia. Rodzi się wzajemna niechęć, brak tolerancji. Skarżymy się: krótkowzroczni, leniwi, cyniczni, aroganccy. Owszem, nie brak i takich, ale lepszych przez własny oportunizm dostrzec nam trudno.

BEGA

Medytacje w dniach kultury

(Ciąg dalszy ze str. 1)

społy bigbendowe i „mocnego uderzenia".

Kultura masowa upowszechniana i lansowana przez środki masowego przekazu przynosi ze sobą jedno poważne niebezpieczeństwo — wytworzenia postawy biernego konsumenta wartości kulturalnych, pozwalającego się bezwolnie zasypywać z ekranu telwizora lub kina, z głośnika radiowego, wytworami tej kultury. To niebezpieczeństwo nam na razie nie grozi, aktywność kulturalna społeczeństwa, współudział w tworzeniu ogólnonarodowych wartości są większe niż kiedykolwiek dzięki pełnemu dynamiki amatorskiemu ruchowi artystycznemu. Ale w wielu miejscowościach, w wielu regionach widzi się odwrót młodzieży od sceny i estrady amatorskiej. Aby temu zjawisku przeciwdziałać, trzeba koniecznie więcej elastyczności w placówkach k. o., więcej rozeznania w gustach i upodobaniach młodzieży, więcej wiedzy o jej wzorcach obyczajowych i zainteresowaniach. Nie wolno bowiem rezygnować z aktywizacji kulturalnej tej młodzieży w środowisku, gdyż może kiedyś dojść do kryzysu.

Wpływ środków masowego oddziaływania będzie wzrastał coraz gwałtowniej z roku na rok. Już obecnie widziałem wielokrotnie w świetlicach i czytelniach wiejskich spore gromadki ludzi, zwłaszcza młodych, tkwiących ciągle przy telewizorach. Nic dziwnego, że dziewczęta i chłopcy w czasie pasienia bydła wolą śpiewać piosenki z radiowej listy przebojów, niż rozlewne — „Pognała wołki na Bukowinę". Warto o tym pamiętać jeśli nie chcemy ponosić klęsk w ruchu amatorskim.

MARIA BOKSZYŃSKA — kierowniczka biblioteki i świetlicy w Lutowiskach. Rys. J. SIENKIEWICZ

POLONICA KULTURALNE

POLSCY PIOSENKARZE W TELEWIZJI NRD

Kilku polskich piosenkarzy zaproszono ostatnio na występy w telewizji NRD. Przed kamerami niemieckiej TV śpiewali Halina Kunicka i Jerzy Połomski, a w końcu maja uda się tam Tadeusz Woźniakowski.

TEATR „GULIWER" WYSTĄPI W BELGII

Teatr Lalek „Guliwer" z Warszawy odwiedzi w sierpniu Brukselę. Polski zespół zaprezentuje widowisko lalkowe wg baletu Ludomira Różyckiego „Pan Twardowski", którego realizatorami są: choreograf Witold Borkowski, reżyser Monika Snarska oraz scenograf Ali Bunsch.

FILMOWE LENINIANA

W kwietniowym numerze radzieckiego miesięcznika „Iskusstwo Kino" znajduje się omówienie przygotowań polskiej kinematografii do obchodów 100 rocznicy urodzin Włodzimierza Lenina. Autorem informacji jest Jerzy Peltz.

WYMIANA KRYTYKÓW FILMOWYCH MIĘDZY POLSKĄ A JAPONIĄ

Jesienią br. uda się do Japonii polski krytyk filmowy Stanisław Janicki, który zbierze materiały do książki o filmie japońskim. Do Polski z kolei przybędzie już w czerwcu br. japoński krytyk filmowy Tadoo Sato, znany w naszym kraju z publikacji w tygodniku „Film", aby zebrać materiały do książki o filmie polskim.

HALINA ŁUKOMSKA NA ESTRADACH PARYŻA, LONDYNU I WIEDNIA

Halina Łukomska święci triumfy w salach koncertowych Londynu i Paryża. W stolicy Francji polska śpiewaczka wystąpiła jako solistka koncertu orkiestry BBC, a w Londynie dokonała nagrań utworów Webera z towarzyszeniem tego zespołu. Artystkę zaproszono również do Wiednia, gdzie śpiewać będzie pieśni Berga.

Sfilmowany „Oliver Twist"

Anglosaskie musicale filmowe inspirowane są coraz częściej dziełami klasyków Szekspira („Kiss me Kate" — wg „Poskromienia złośnicy"), Cervantesa (obecnie nakręcany film o Don Kichocie) aż po G. B. Shawa („My fair lady") i H. G. Wellsa („Kipps").

Nic dziwnego, że nie uszedł uwagi filmowców również Dickens. W oparciu o „Olivera Twista" powstał — zdaniem wielu krytyków — najlepszy z dotychczas nakręconych angielskich musicali filmowych. Znalazł również uznanie w oczach jury amerykańskiej nagrody „Oscara", które przyznało mu rekordową liczbę aż 6 statuetek — za najlepszy film roku, za najlepszą reżyserię, za kierownictwo artystyczne, adaptację muzyczną, efekty dźwiękowe i choreografię.

Podobnie jak w innych przypadkach i tym razem droga powieści na ekran wiodła przez scenę. Słynną powieść z 1843 r. zaadaptował dla potrzeb teatru Lionel Bart. Musical ten przez 10 lat święcił triumfy na scenie londyńskiej i na Broadwayu. Angielski reżyser Carol Reed („Niepotrzebni mogą odejść") chciał już dawno przenieść „Olivera" na ekran, ale dość długo trwało zanim znalazł się producent gotów zapłacić poważną sumę za zakupienie praw autorskich. Wreszcie Reed doczekał się i przystąpił do pracy nad swym pierwszym musicalem.

— Przy realizacji tego rodzaju filmu — stwierdził twórca — reżyser w większym stopniu niż przy innych gatunkach uzależniony jest od współpracowników. Musi stale korzystać z ich rad, uznawać ich wyższość i kompetencje. Współpracownikami Reeda byli: Onna White, która jest współautorką „Słodkiej Irmy" i John Green — współtwórca „West Side Story".

Film, nakręcony na taśmie 70 mm, w kolorze, ma dickensowski wdzięk, klimat współczucia dla ludzkiego nieszczęścia, gorzki chwilami humor i wiarę w zwycięstwo dobra. Te cechy nie zostały przytłoczone — lecz wręcz przeciwnie — podkreślone sekwencjami tanecznymi i muzycznymi oraz grą aktorów, w tym wielu dzieci z Markiem Lesterem w tytułowej roli. Ekranizacja oczywiście nie mogła zawrzeć wszystkich epizodów i postaci, podobnie zresztą jak wersja teatralna „Olivera". — Musieliśmy opuścić całe fragmenty, mniej więcej czwartą część książki — mówi Reed. Trzecią część filmu zajmują sceny wokalne i taneczne.

Premiera „Olivera" odbyła się przed kilkoma miesiącami w licznych stolicach, z udziałem głów państw. Od tej chwili rozpoczął się triumfalny pochód filmu na ekranach świata.

ZDARZENIA TYGODNIA

Program piątkowego koncertu symfonicznego (23 maja br.) zorganizowanego przez Państwową Filharmonię im. A. Malawskiego w Rzeszowie to występ orkiestry pod dyrekcją Tadeusza Chachaja. Wykonała ona „Małą uwerturę" W. Kilara i Sinfoniettę P. Perkowskiego. Solistką tym razem była znakomita polska pianistka Barbara Hesse-Bukowska, która zaprezentowała rzeszowskim melomanom „Koncert fortepianowy e-moll" Fryderyka Chopina.

* * *

W dniu 21 maja w Muzeum Okręgowym w Rzeszowie została otwarta wystawa pn. „Renesansowy drzeworyt w Polsce", na której zgromadzono liczne drzeworyty i klocki, pochodzące ze zbiorów Muzeum Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie oraz książki ilustrowane drzeworytem (zbiory własne).

Otwarcia wystawy dokonał dyrektor Muzeum dr Franciszek Błoński, który powitał zarazem przybyłego na uroczystość prof. dr Karola Estreichera, dyrektora wspomnianej już placówki muzealnej UJ.

Po otwarciu ekspozycji znakomity uczony wygłosił odczyt na temat „Drzeworyt polski w XVI wieku". Była to piękna lekcja na temat tej techniki zdobniczej w początkach dziejów książki drukowanej. Zobrazował on również warunki, w jakich powstał drzeworyt oraz przyczyny jego zmierzchu. Trzeba tu szczególnie podkreślić uwagę, z jaką pogadanka została przyjęta przez licznie zebranych tak starszych przedstawicieli społeczeństwa, jak również młodzież.

* * *

Z okazji niedawno obchodzonego Dnia Działacza Kultury odbyło się uroczyste spotkanie Prezydium WKZZ z aktywem kulturalno-oświatowym, działającym w związkowych placówkach k.o. oraz zarządach okręgowych związków branżowych.

Podczas spotkania wręczono nagrody 35 działaczom wyróżniającym się aktywną postawą społeczną i zaangażowaniem w tej działalności. Następnie uczestnicy spotkania udali się na wojewódzką uroczystość, zorganizowaną z tej okazji w ramach Dni Oświaty, Książki i Prasy.

* * *

W dniach 17 i 18 maja br. Koło Przewodników Nizinnych i Beskidzkich przy Oddziale PTTK w Rzeszowie obchodziło 15-lecie swego istnienia. W ramach tych uroczystości, obchodzonych pod protektoratem Prezydium MRN w Rzeszowie odbyło się spotkanie jego członków z zarządem koła oraz zaproszonymi przedstawicielami podobnych kół z terenu kraju, sesja popularnonaukowa, poświęcona omówieniu problemów przewodnickich. Na tę ostatnią złożyły się referaty Wojciecha Militza z Warszawy nt. „Przewodnik turystyczny i jego współczesna rola" oraz B. Cmeli „Z zagadnień przewodnickich w woj. rzeszowskim" i Fr. Błońskiego „Muzea w pracy przewodnickiej", K. Chrystowskiej „Gościniec jako forma wymiany doświadczeń przewodnickich".

* * *

18 maja w ramach powyższych uroczystości odbyło się w salach Muzeum Okręgowego spotkanie członków koła, na którym zebrani wysłuchali referatu B. Cmeli pt. „Z dziejów koła przewodników w Rzeszowie", odbyła się uroczystość wręczenia odznaczeń turystycznych, dyplomów i nagród. 10 przewodników otrzymało nagrody pieniężne przyznane przez WKKFiT. Przybyli na zebranie przedstawiciele kół przewodników z terenu kraju złożyli zebranym z okazji jubileuszu gratulacje, życzenia i miłe upominki. Na zakończenie odbyła się impreza artystyczna na tle wystawy „Droga do chleba" w wykonaniu aktorów Teatru im. W. Siemaszkowej w Rzeszowie oraz przegląd filmów krajoznawczych, poświęconych województwu rzeszowskiemu.

* * *

Wojewódzki Dom Kultury w Rzeszowie wystąpił z inicjatywą zorganizowania kursu kwalifikacyjnego stopnia średniego dla instruktorów tańca z placówek pionu państwowego, związkowego i nauczycieli. Jego celem jest podniesienie kwalifikacji zawodowych. Uczestnicy będą je zdobywać w ciągu dwóch lat. Pierwsze zajęcia odbędą się w dniach 22 czerwca do 29 czerwca br.

* * *

Z podobną inicjatywą wystąpił Przemyski Dom Kultury, organizując szkolenie młodych kadr tanecznych. Uczestnikami kursu jest młodzież ZMW, pracownicy Klubów Rolnika i świetlic gromadzkich. Jest to kurs przysposabiający do uczestnictwa w amatorskim ruchu tanecznym, stwarzający im zarazem możliwości zapoznania się z tą dziedziną, a szczególnie z folklorem przemyskim.